ŻYCIE



ROCZNIK II. ZESZYT XL.

DNIA 29. WRZEŚNIA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
ULICA DĄBROWSKIEGO L. 2.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“.

Fabryczny skład szczotek i pendzli

Lwów, ulica Kopernika 11.

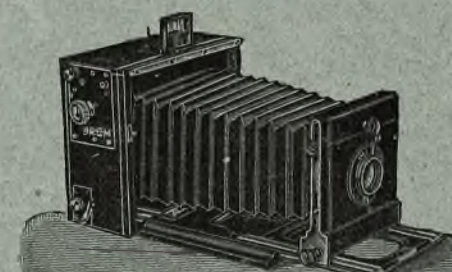
poleca: wszelkie rodzaje szczotek i pendzli do użytku domowego, fabrycznego i przemysłowego, oraz pendzli artystycznych, malarskich i lakierniczych wyłącznie Krajowy wyrób.

Zlecenia z prowincyi odwrotną pocztą.

H. Czerwińska.



o cenach nader przystępnych, wykluczaczających wszelką konkurencyę. Portrety powiększa do naturalnej wielkości z każdej fotografii.



JAN BUJAK

Specyalny skład i warstat
- reparacyjny aparatów -
- - fotograficznych. - -

WE LWOWIE, UL. KOPERNIKA L. 14.

poleca

APARATY, NAJNOWSZE MODELE. —
PŁYTY I PAPIERY FOTOGRAFICZNE
Z ANGIELSKIEJ FABRYKI WELLINGTON
CENY FABRYCZNE.
WYWOŁYWANIE KLISZ I KOPIOWANIE.

ZAKŁAD GAZOWY MIEJSKI WE LWOWIE

poleca na sezon budowlany do opału gazem:

Kuchnie, piece kąpielowe, aparaty techniczne i do rozprowadzania gorącej wody, odznaczające się trwałością i zupełnem bezpieczeństwem w użyciu.

Lokal wystawowy i do sprzedaży w pasażu p. Mikolascha.

Zalety opału gazem: Wygoda i łatwość w obsłudze, nadzwyczajna czystość, natychmiastowe wyzyskanie ciepła i taniość.

Urządzenia dla 3 płomieni świetlnych i 2 kuchennych przy użyciu zegarów automatycznych, wykonuje Zakład gazowy własnym kosztem.

Bliższych warunków można zasięgnąć w biurze Zakładu przy ul. Gazowej 28.



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

UCZESTNIK.

WYZNANIOWOŚĆ A RELIGIJNOŚĆ.

Zaogniające się z każdym dniem stanowisko wojującego różnowyznaniowego klerykalizmu, który, oparty bardzo często o nizkie instynkty i zdecydowaną ciemnotę, wypowiedział krucyatę najszlachetniejszym dążeniom zbiorowości, zdobyczom wiedzy naukowej i uprawnień politycznych, zmusza myślącą opinię polską, na której terenie narodowym objawy tego rodzaju szczególnie są widoczne, do zastanowienia się nad źródłami klerykalizmu, do poddania rewizyi przyjętych najopatrzniej nietylko w mowie potocznej pojęć o wyznaniowości i religijności. Pojęcia te bywają w języku naszym utożsamiane, nad co nic niesłuszniejszego. Naprostsze bowiem spostrzeżenia stwierdzają, że przynależność do jakiegoś wyznania i spełnianie wszystkich nakazanych jego praktyk zewnętrznych nie ma nic wspólnego z religijnością danej jednostki. Dokoła siebie widzimy codziennie ludzi, oddanych fanatycznie praktykom wyznaniowym, jednak równocześnie zgoła niereligijnych, pełnych kłamstwa, obłudy, nienawiści i złych obyczajów w ciasnem i szerokiem tych słów rozumieniu. Plemię augurów, faryzeuszów i inkwizytorów niestety nie wymiera. Z drugiej strony spotykamy ludzi, stojących poza wyznaniami, równocześnie jednak rzetelnie religijnych, prawdomównych, sprawiedliwych, bezinteresownych, pełnych miłości bliźniego, zdolnych do poświęceń osobistych dla wzmożenia prawdy poznania i powszechnego dobra społecznego. Wielki ród budzicieli prawdy żyje na szczęście również, zdobywa serca i umysły. Bezstronność każe wyznać, że niejednokrotnie spotyka się wyznaniowość, idącą w zgodzie z religijnością, a dzieje się to zazwyczaj przed progiem świadomości zdobytej już przez przodowników ludzkości nowej kultury duchowej.

Jest więc istotna i zasadnicza różnica między wyznaniem a religią; obu tych pojęć nie wolno utożsamiać pod żadnym warunkiem, jeżeli rozpatrujemy kwestyę genetycznie. Starszem jest pojęcie religii, jako sumy objawów pewnej obyczajowości. Religia ma podstawę w uczuciu, zatem w warunkach przyrodzonych. Troskliwość rodzicielska u najmniejszych żyjątek, potrzeba życia zbiorowego u typów wyższych, — toć przecież nic innego jak tylko objawy uczuć, objawy prymitywnej religijności. Uczucia tego nie należy pojmować abstrakcyjnie, lecz jako zdolność, tkwiącą w przyrodzonem dążeniu samozachowawczem, właściwą wszelkiemu życiu, ażeby funkcye jego mnożyć i prowadzić ku coraz wyższemu rozwojowi. W miarę rozwoju życia rośnie i zarazem

różniczkuje się zakres funkcyi życiowych, dochodzi do formy człowieka, do jego obyczajowości pierwotnej, w nim rośnie dalej, uczłowiecza się coraz bardziej, dochodzi do wysokiej samoświadomości, coraz doskonalszej ze względu na nowe potrzeby człowieka obyczajowości. Innemi słowy: religia pierwotniaka czyli jego przyrodzona obyczajowość wzrasta w miarę rozwoju coraz doskonalszych ze stanowiska ludzkiego kształtów w coraz pełniejszą treść czyli w coraz bogatszą obyczajowość. Ta droga naturalnej ewolucyi jest dokładnie widoczną, gdy porównywamy świat zwierzęcy ze światem ludzkim, gdy dalej już na gruncie człowieczeństwa zestawimy obyczajowość szlachetnie kulturalnego Europejczyka z obyczajowością nieoświeconego dzikusa z puszcz afrykańskich.

Wyznaniowość jest procesem następnym. Z chwilą, gdy społeczeństwo ustalało się, ustalała się również jego obyczajowość, rozszerzała się na grupy podbite czy ujarzmione orężnie lub cywilizacyjnie, stwierdzała swoją skuteczność w rozwoju danego społeczeństwa, nabierała znamion nienaruszalności, dogmatu, stawała się tabu, wyznaniem, świętością. Atoli z biegiem czasu obyczajowość społeczeństwa czyli religijne jego dążenie do wydobycia nowej sumy szczęścia w ciągle odmieniających się przez postęp techniczny i umysłowy warunkach życiowych podlegała dalszemu rozwojowi, szukała nowych form, duchowi czasu odpowiadających. W dążeniu tem natrafiała nagle na stworzoną przez samą siebie przeszkodę w uświęconych formach przeszłości, w obowiązującem wyznaniu. W łonie społeczeństwa powstała walka między nowemi dążeniami obyczajowemi czyli religią a między formami ustalonemi czyli wyznaniem. Społeczeństwa energiczne umiały zapewnić zwycięstwo dążeniom religijnym, pokonać nieruchomość wyznania, utworzyły nowe formy religijne, które z kolei stały się nowem wyznaniem i spełniały pożyteczną a nową rolę do czasu, dopóki rozwój obyczajowości nie musiał doprowadzić do nowej walki.

Dla cywilizacyi dawniejszych walka taka, co pewien okres powracająca, była niejednokrotnie przyczyną zguby danego społeczeństwa, o ile ono nie umiało zniszczyć przeżytków przeszłości i wejść na drogę nieuniknionego dla celów przyszłości rozwoju. Cywilizacya nowoczesna, europejska, umiała dotychczas szczęśliwie, choć nie bez krwawych nieraz przewrotów, dawne wyznania ubezsilniać i stwarzać formy dla nowych uczuć religijnych, dla nowego dążenia życia, dla nowej prawdy. Tak po katolicyzmie przyszedł protestantyzm, po nim deizm, po deizmie monizm, który tedy nie jest — jak mylnie u nas się sądzi — bezbożnością czy brakiem religijności, ale przeciwnie jest dążeniem najściślej religijnem, rozszerzeniem samoświadomości jednostki i społeczeństwa, jest wyrazem prawdy życia czyli prawdy bożej, zamkniętej w organizacyi psychofizycznej człowieka dzisiejszej kultury. Nic to nie znaczy, że niziny duchowe społeczeństwa europejskiego rozwoju tego jeszcze nie przybyły, że zatrzymały się na niższych szczeblach. Oświata powszechna łatwo różnice wyrównywa i zjednoczy ludzkość europejską w jednolitym uczuciu religijnem, bez wywoływania krwawych starć, jak się to niestety działo ze szkodą dla szybszego postępu cywilizacyi w okresach dawniejszych. Toteż pogodnem okiem możemy spoglądać w przyszłość, wolni od zniecierpliwienia, tem bardziej zaś oddani pracy nad uszlachetnieniem duchowem całości społeczeństwa.

Ten fakt rozwoju religii zauważono już dawno w nauce, ma on za sobą ustaloną opinię, stał się całkowitą własnością cywilizacyi europejskiej. Wyrazy: religia i wyznanie — są tam w literaturze ściśle rozróżniane, jako pojęcia zgoła odrębne. I tutaj właśnie okazuje się niecałkowita jeszcze europejskość cywilizacyi polskiej. My mamy wprawdzie doskonałe wyrazy, odpowiadające pojmowaniu tych terminów w literaturze zachodniej, jednakże są to wyrazy bez treści, które nie stały się własnością naszej cywilizacyi w rozumieniu europejskiem. Z wyjątkiem niewielu pisarzy, zaznajomionych z literaturą filozoficzną zachodniej Europy, ogół naszych piszących wyrazy: religia i wyznanie najopaczniej i najniesłuszniej identyfikuje. Stąd każdy innowierca, niekatolik jest dla naszych bałamutów niedowiarkiem, ateuszem, masonem, niereligijnym i bezbożnikiem. Chełpimy się od święta europejskością naszej kultury, a nie znamy tolerancyi wyznaniowej w życiu zbiorowem, nie znamy jej nawet w języku ojczystym, nie umiejąc odróżnić pojęcia religijności od pojęcia wyznaniowości, nie rozumiejąc zatem, na czem polega istota religii.

Rozwój religii idzie w parze z ogólnym rozwojem ludzkości, który uwydatnia się w każdej dziedzinie pracy, uczucia i myśli. Można powiedzieć, że ludzkość we wszystkich tych dziedzinach uczłowiecza się coraz doskonalej. Jeżeli w szczególności spojrzymy z lotu stuleci na rozwój uczuć religijnych, widzimy to jasno i jak na dłoni. Od wyobrażenia fetysza do pojęcia wszechogarniającej Istności jakaż ogromna przepaść! Od trwogi zabobonnej przed każącym mścicielem do uczucia pełnej zaufania miłości synowskiej wobec Ojca wszechistności — jakże odległa droga! Od ludożerstwa, kastowości i nienawiści plemiennej do ideałów humanitarnych epoki nowoczesnej — jakież trudy wiekowe i ofiary milionów! Pamiętam obraz człowieka, wyobrażający postać mężczyzny z promienną gwiazdą na skroni. Godny wizerunek niestrudzonego w pochodzie dziejowym Prometeusza, który wyszedł z Boga i przez owoc poznania i woń ofiary wraca do Źródła, przynosząc pokoleniom szczęście i prawdę. Godny wizerunek usymbolizowanych uczuć religijnych, wolnych od jałowych niesnasek wyznaniowości, wolnych przedewszystkiem od nieznanej dzieciom bożym nienawiści i trwania w martwocie ducha!

3

Tu pęka odrazu wielki węzeł tragedyi. To, co się miało stać po tylokrotnem przemienieniu (Ja, — gwiazdy, — wszechświat, narody, — lud, i Boga cud, — powszechne j a) to, by się przemienienie owo wogóle spełnić mogło, — winnoby się stać przed niem samem. — (Czy przez lud ku ojczyźnie, czy przez ojczyznę ku ludowi?).

Czemże tu jest staropolska cnota Prezesa? Zaprzepaszczeniem własnego, raczej uwarunkowaniem własnego poczucia, czuciem drugich.

Przeciwstawia się jej twórcza moc Winkelrieda-Kordyana: Własne czucie tworzyć w drugich.

Zwycięża Prezes. Wtedy upada spisek; Kordyan, ofiarowując życie, demaskuje się. Jego czyn demaskuje wszystkich innych. Na miejsce spisku rodzi się ofiara. Na miejsce zgody porozumienia wraca ofiarne liberum veto. Tu się więc Kordyan dowiaduje, że nic się nie zmienił polski duch. Tedy na brylancie wiary, zdobytym na Mont-Blanc musi wystąpić rysa. Jest tylko ja. I jest człowiek — jeden. Ludzi niema. W każdym razie stosunek jego do n i c h jest niewspółmierny. Więc ofiara jest niesprawiedliwością — zbrodnią.

J a samo w sobie nie cierpi nad tem i żadnego uszczerbku nie dozna. Ale człowiek-ja, obarczony staropolską cnotą, nie zdziała tego, coby zdziałał, gdyby ludzie tak jak i on twórczymi byli w imię czynu — walki.

Czarny Nieznajomy, spisek, wsiąknąwszy w zgniłe piwnice katedry, wraz z krwią tu gnije i rozkłada się.

Ofiara dziecka, tłum czerwony, pożogą krwi rozpływający się po mieście rodzi nie piorun, nie czyn, nie walkę, lecz nową ofiarę.

Tu znów, po raz drugi przywiduje się Kordyanowi róża.

„To nic... na grobie wsadzisz dwie różdżki topoli
I różę...“

Tu widać dowodnie, że krew jutrzni wiary (na czemże się innem spisek zasadza) nie rodzi. Że koło ofiary błędnem jest kołem. Czy je rozerwie twórcze j a Kordyana?

Zbliża się chwila czynu. Ten czyn jest nader prostym: Jedno pchnięcie. — Jest krwawy.

Idzie Kordyan do sypialni cara. Idzie po salach pałacu, którego terasy pozorem chwały i pychy opadają ku Wiśle. A w dole Wisła a za nią w dalach polskie ziemie.

Czemuż-to mu się widma zwidują w tych salach? Czemuż-to polski Siegfried, Kordyan-Winkelried wlecze za sobą Strach i Imaginacyę? Któż mu tych towarzyszy naraił?

Nie człowiek. Niczyje j a. Żadne z osobna niema nad Kordyanem mocy. Kordyan przecie zamienił swoje j a w on, królobójcę-oswobodziciela. W o n, które jest otchłanią czynu miłości. Nie naraił mu ich żaden przesąd. Czy może mieć siłę przesąd nad człowiekiem, który na górze Mont-Blanc (Tabor) doznał przemienienia cnót? — Juści nie.

Lecz Kordyanowe o n niema poręki w tych, dla których z j a o n się stało. Cięży mu to wszystko, w imię czego żaden z nich swego j a w o n przemienić nie chciał.

Cały naród mu cięży. Dla narodu, lecz przeciw niemu idzie syn jego (gorycz, wprost styl każdej ofiary). I w tym właśnie rozdźwięku kruszy się moc Kordyanowa, i w tym sprzeciwie, realnością ciała i krwi warunkowane, — budzi się Kordyanowe krew — i — ciało. Duch z ciałem walczy w Kordyanie tak, jak on walczył ze spiskowymi. I Winkelried walczy tu z cara „przysięgam“.

Morderczy czyn Kordyana nie może stać się przemienieniem się krwi w wino zwycięstwa. Bo się w narodzie ten czyn nie rozpleni. Zostaje więc w Kordyanie. Jest tylko czynem nienawiści. Gdyż miłość, w imię której czyn spełnić się ma, nie odpowiada żadnej oczywistości w narodzie.

Tu przeżywa Kordyan drugą jesień, stokroć straszniejszą od pierwszej. Pierwsza była jesienią marzenia, druga jest jesienią czynu. Tak jak wtedy panteistyczne czucie przyrody miotało Kordyanem we wsze strony, tak teraz miota nim nieskończona możliwość dopuszczeń. Bo jesień, bo uwiąd zoczył Kordyan we krwi swego narodu.

Czy rozpłynie się w niej tak, jak przedtem w przyrodzie rozczynił się i unicestwił? Nie. Losy jego ducha są pewne.

Lecz forma czynu warunkowana zewnętrznością?

Zaś sfinksy, jak dzieci płaczą... To znów w sali przyszłego skrytobójstwa odlatuje od ściany dziewica a „światy błyszczą na szafirze jej szaty“. — Może to Laura w gwiaździstej kororonie szczytowych doświadczeń — przemieniona? — Zwątpienie okrutne. Bo jednak może to dla niej, może się przez nią sprawiło to całe wyniesienie się duszy? Więc byś między wonnymi warkoczami dziewicy plótł się ty polski czynie?!

Imaginacya: Czy czujesz woń jej warkoczy?

Strach: Rozgniotłeś węża pod sobą. Pękła żmija.

Kordyan: Jezus Marya!!!

Przechodzi koło korony cara. Krew się z niej leje. Czyż myślałby Kordyan o tej koronie, gdyby wiedział, że zniszczy rychło jej ślad.

„Ale śladu nie zniszczę,
Chyba za drugi wiek!..“

Idzie dalej w zmorze szpiegowskiej tu, gdzie drzewa mają liście z ludzkich uszu, z oczu ludzkich kwiaty.

„Patrzą kwiatem — liściem słyszą“.

Wizye się mnożą i równocześnią. Splata się przeszłość z nieudałą przyszłością. Oto naraz duch przeszłości po rusztowaniu z trumien wdziera się do cara. W tym samym czasie Kordyan rozszczepia się w sobie i własnej ulega antycypacyi. Zdaje mu się, że widzi siebie samego, już po spełnieniu czynu. A przeszłość, kościane trupy, — przemieniają się w straszną wolę spisku.

Po gumnie z trumien wdziera się trup z gromnicą i z trumien wali się. Niczego nie dokonał.
Sto tysięcy ciekawych zagląda do cara łożnicy.

Widma pomstują — nie ludzie.

„Pożarłbym teraz mowę stu tysięcy ludzi“.
Lecz milczeli. Niema ojczyzny bez ludzi. Niema ludzi bez ojczyzny. Tylko widma. — Ta myśl zabija Kordyana. Ta myśl krzyżem go rozciąga na bagnecie królobójczym. Ta myśl — o przeszłością zmechanizowanem społeczeństwie. Mechanizm osnuje żywego człowieka.

Już wnet Kordyan stanie się śmiesznym.

Tu drugi raz umiera Kordyan, lecz teraz nie samobójczo. Umiera śmiercią serca, miłości. Tę śmierć zadaje mu naród.

Doświadczenie nader ciężkie. Żadna zewnętrzna siła nie może wyzwolić narodu. Ofiara niema racyi bytu. Kordyan był zewnętrzną siłą, dlatego w ciele narodu żadnego wyzwolenia dokonać nie mógł. — Żaden czyn społeczny nie może się stać bez woli całego społeczeństwa.

Widzieliśmy tę wolę. Ciąży niezmiennie ku przeszłości. Myśl przewiduje: Wszak idą czasy nowe, coraz nowsze. Może wreszcie... Lecz „t e r a z jest na to, by się w p o t e m przemieniło. Dopiero wtedy siłę ma.

(A człowiek żyje teraz, potem go nie będzie).

Wspomnienie ma więcej znaczenia niż teraźniejszość. Fikcya (bardziej lub mniej realna) ma więcej znaczenia od rzeczywistości. Nie warto więc, by była rzeczywistość. To mówi waryatowi Kordyanowi doktór. Ten sam, co go uprzedził w sypialni cara o północy, doktór-upiorek Winkelrieda. Doktór — swoboda myśl przeciw wolnej myśli.

K o r d y a n: — Każdy człowiek, który się po-
[święca
Za wolność — jest człowiekiem, nowym Boga
[tworem.
D o k t ó r: Cha! Cha! wolność garncarskie koło
podkręca, —

I konkluduje kusiciel: Ty chciałeś zabić widmo. Świat jest Twoją myślą. Zarówno i ty jesteś myślą świata. Nikt za nikogo nie może odpowiadać. Nikt za nikogo nie ręczy.

Doktor kusi, — zdrowy rozsądek kusi. Albo raczej opada Kordyana sfera realności strasznejsza, niż największa męka. Jest tak ciężka, że posiepaki carskie i sam ks. Konstanty, przerywający tę chwilę, zdają się Kordyanowi wybawicielami:

K o r d y a n: To głos ludzki. O Boże! raczyłeś
[mię przecie
Choć śmiercią wyswobodzić od tego człowieka...

Nadczłowiek umarł (bo nie został przez siebie samego przezwyciężony) tam w szpitalu waryatów. Wolne j a, skażone piętnem narodu, nie zdołało wytrzymać walki. Tak, jak na górze Mont-Blanc nieobecność ludzi, poniekąd nieobecność przyrody była pomocną dźwignią do wyłuszczenia twórczego j a, — tak tu choćby głos i widok posiepacza wybawia Kordyana z własnej jaźni.

Po narodzie mści się coś więcej niż naród. Mści się ludzkość.

Już się Kordyan na czyn nie zdobędzie. Co najwyżej okaże swe aktywne zdolności. Pokaże, że g d y b y chciał i gdyby mu ktoś inny, czyjaś o b c a wola czyn wskazała, nawet haniebnie prowokując — to on go spełni. Spełni, — bo podzieloną jest istota czynu. Spoczywa na człowieku-Kordyanie i na ludziach, na jakiejś zbiorowości, choćby tymi ludźmi, tą zbiorowością był Konstanty i jego dworacy.

Prometeusz zamknięty jest w pierścieniu, z którego niema wyjścia.

Po rozmowie z doktorem umysłowa tragedya Kordyana opisała trzecie koło daleko szersze od drugiego. Drugie (zamach) to niemoc indywidyum wobec narodu. Trzecie — to niemoc człowieka, jako typu obecnej chwili narodowej, niemoc narodu — wobec ludzkości.

Z całego koliska przyczyn i skutków, jakie się na czyn spiskowca złożyć miały, został ledwie zawiązek. Został tylko rozpęd, nabyta szybkość. A gdy książę Konstanty w imię staropolskiego męstwa, zaproponuje Kordyanowi farysowsko-pajacoski skok konny przez bagnety — Kordyan skoczy. Skokiem tym zrówna się z wszystkimi tymi, co w kruchtach katedry nie chcieli spisku, — w imię tej samej staropolskiej cnoty.

Przeczuwa coś podobnego doskonale Wielki Książę. Po skoku, ucieszony, każe grać: Jeszcze Polska... Dobrze wie... Jeszcze wciąż „polskim“ jest ten skok.

Tu jest dół... Tu jest jama, nora, wądół, rozpacz, nad którą niema nigdy dość załamujących się rąk. Oto najniższy słój tragedyi: Bohater narodowy — dżokejem.

Oto dowód. Oto co może z człowieka-j a uczynić naród, oglądający się na całą ludzkość. Co może zrobić z Winkelrieda ludzkość, której naród oddał za samego siebie odpowiedzialność.

Nie był więc pewnym jej. Oddał odpowiedzialność. W imię własnych najoczywistszych potrzeb nie śmiał jej ponieść. Przeto nie zobowiązuje do niczego.

Nie dziwota, że skok Kordyana nikogo do niczego nie zobowiązał. Że „prawdziwemu Rosyaninowi“, carowi Mikołajowi ważniejszem było jego, Rosyanina, najbłahsze podejrzenie, od niewiedzieć jakiej istoty-rzeczy Kordyana. Gdy Winkelried niczego nie dokonał — cóż może znaczyć czyn dżokeja?!

Kordyan musi zginąć.

Dwie są chwile w widomym akcie jego śmierci, to jest w więziennej scenie pożegnania, które tragedyi całej dają pewne wyjście.

Przedziwna róża poraz trzeci i ostatni spotykająca tu Kordyana. Róża męczeństwa? Mistyczny kwiat wyzwolin ducha z mąk doczesności?

I drugi moment, może rozwiązujący węzeł całej tragedyi.

Spełniły się bajki młodości, które polską jesienią opowiadał stary sługa Grzegorz. Trzecia się za chwilę spełnić ma. O tym, c o n i e u m a r ł i n i e ż y j e. (Pamiętacie Kazimierza).

Jakże się spełnić ma, by Kordyan nie umarł, choć żyć nie będzie? Oto graf Kordyan bierze sobie za o j c a swego sługę Grzegorza. Śmier-

telnym pocałunkiem na wieki utwierdza to pokrewieństwo. Wnukowi Grzegorza, wnukowi sługi oddaje imię swoje.

— Czy wie ojciec, w którym pokoleniu prawnuków czyn jego owocować będzie mocą?

Równają się klasy. Nie wiara je zrównała, nie ksiądz. Konieczność życia. Niemożność twórczego czynu dokonała tego cudu ostatniej i najwyższej przemiany. Róża i dziecię. I tak, jak róża, trzy razy: przed samobójstwem, w pałacowej sali i gdy Kordyan idzie na śmierć tak dziecię zjawia się tu poraz trzeci. Krew jego porusza śruby zegara, krew jego zlewa ulice podczas koronacyi. Poraz trzeci w chwili śmierci ono wybawia sprawę ciągłości Kordyanowych doświadczeń. To dziecię, noszące imię Kordyana, wywodzi się z tłumu, z pomiędzy sług.

To dziecię nie zadrży nigdzie i przed nikim i nie zawaha się u wrót sypialni cara. *Strach* i Imaginacya nie będą mogły imać się go. Bo to dziecię *samo*, czy w milionach zawsze, powszędy — tłumem będzie.

Wtedy, gdy *Ja* stanie się w Polsce prawem.

STANISŁAW BARĄCZ.

POEZYE.

NA ZAWSZE.

Coś, co się nie odstanie, stało,
Coś raz ostatni w sercu dźwiękło
I głucho w nicość się zerwało,
Coś z mych najdroższych skarbów pękło:

I żaden mistrz tu nie pomoże
Ni rozum ani żadna skrucha:
Ty jeden, co to wiesz, o Boże! —
Ja tylko czuję w głębiach ducha.

SZKICE.

I.

W wieńcu ruczajów wiosną lśniące hale
Tchną wonią sosen w szafirowe dale
I szumią lasów pieśnią wiecznie młodą.
Słońce im piersi całuje pogodą,
W promiennych ramion garnie je pieszczoty,
Jakby w nie chciało przelać żar swój złoty.

II.

Łuną zachodu płonie szczyt daleki.
Już czoła świerków mierzwi wietrzyk lekki,
Swawolny zwiastun cichego wieczoru,
Słońce rozrzuca na błękit przestworu
Od bramy swoich pałaców świetlanych
Chmurki uśmiechów złotych i różanych.

III.

Po szczytach igra wieczór przetowłosy —
Już senny usiadł na głazów kolory,
Na zieleń szaty rozrzucił różowe,
Do mchów brunatnych tuląc jasną głowę
Po skałach złote rozsypał kędziory.
U stóp mu tryska zdrój: przez skał zatory
Pędząc z urwiska leci w przepaść z wrzawą —
Zawisł w powietrzu srebrzystą siklawą,
Co się do złotych blasków słońca wdzięczy
Opromieniona w wszystkie barwy tęczy —
I wstydem zdjęta nagle wdzięk swój tuli
W perłowe rąbki białej z pian koszuli.

IV.

Zdrój słońca strugą po zboczach się złoci,
Pryska w zwierciadeł sto śród kęp paproci,
Wężami ognia wije się po błoni.
Już wpadł do rzeki rozżarzonej toni,
Co chce w swem łonie blaski najjaskrawsze
Rubinów słońca zachować na zawsze,
Co szumem hymny zawodzi wspaniałe
Bratnim żywiołom na wieczystą chwałę.

V.

Tam las nad jarem w koronie z płomieni
Pełny migotań, jasnych barw i cieni.
Spowity w lśniących odblasków tumany,
Nawskróś ćmą złotych promieni dziergany
Zda się chwiejący ognistemi kity
Snem ziemi płynąć na światłach w błękity.

Z NASTROJÓW JESIENNYCH.

Lśni dzień jesienny blado-złoty,
pogodny jak świętego skon,
wspomnieniem lubej drży pieszczoty,
tchnie ciepłem dawno zgasłych łon.

Z szelestem suche lecą liście,
czuć woń żałobną zwiędłych hept
za mrących pacierz uroczyście
ust niewidzialnych zmawia szept.

JULEK.

(PORTRET WSPÓŁCZESNY).

Jakiś ostatecznie bezmyślny sentymentalizm, czy megalomania? Wieczne to szukanie czyichś wyższości...

Pesymizm wobec siebie — to megalomania — zadecydował wreszcie.

Ale czy bez tego możliwem jest doskonalenie się?

A pesymizm względem innych? Szukanie wszędzie cynizmów — nawet w tem, co proste i naturalne?

Ostatecznie możeby zaczął Wackowi robić wyrzuty, że je, trawi i tam dalej — co?!

Trzasnął o stół książką, którą machinalnie wziął w rękę i rzekł nagle głośno:

— A jednak to jest obrzydliwe!

— Co? zapytał Wacek.

— Wszystko! życie... nie, życie jest wielkie, piękne, wspaniałe — nie — sam nie wiem co — jąkał się Julek zmieszany. — Te teorye, te literackie dowodzenia, psychologiczne badania i biadania — mówił dalej, przypominając sobie inne sprawy, aby w myśli przeprosić Wacka za to, co o nim myślał przelotnie. — Wiesz — rzekł nagle — ja rozumiem teraz, pocośmy czytywali Marksa i po co nam wpychano w głowę, że jego teorya wartości jest kamiennie słuszna. Ja się tam wykłócałem, że nie jest słuszna, głupstwam plótł, bo nie rozumiałem jej głębi — zdawało się, że ją pokonam dowodami, które później znalazłem u Gide'a — głupie, burżujskie, płaskie zarzuty, że nie zawsze praca tworzy wartości. Dziś wydaję się sobie śmiesznym durniem. Jakiś czas naprzykład wydawało mi się tak: teorya z życiem niezgodna, ale to wspaniały, olśniewający gmach żelaznej logiki, jakaś budowla nadziemna, trzymająca się wolą geniuszu, co chciał ludziom narzucić swoją myśl potężną, odżywczą, rewolucyjną w każdem drgnieniu. Wszystko to głupstwo, a przynajmniej prawie wszystko. Ja może jeszcze nie rozumiem Marksa, ale ja wiem, ja czuję, że w nim jest wielka, ognista, bojowa, ludzkość ogarniająca prawda. Ale nie dlatego, czy on umiał jej dowieść, czy nie — to mało ma znaczenia. I nie to ważne, czy ja rozumiem jego dowody, ale to, co czuję wobec robotnika, wyzyskiwanego przez kapitalistę. Co mi tam dowodzenia! To, co czuję, jest najważniejsze.

— I ja tak samo myślę — odpowiedział Wacek, pokazując zęby na znak zadowolenia.

Julek uczuł do Wacka wielki przypływ przyjaźni. Wacek z pewnością uczuł to samo. Julka ogarnęła nagle jednak jakaś melancholijna ukryta zazdrość. To, co Julek mówił, było treścią życia Wacka — Julkowi zaś nie porywało całego życia, choć to sam Wackowi wytłómaczył...

Wciąż to samo! Jakiś brak wewnętrzny — Przecież Julek, doprawdy, święcie czuł to, co mówił — Dziwił się nawet sobie, że to sformułował, co myślał nie wiedzieć kiedy, co raczej dopiero przeczuwał kiedyś. I dla czegoż to była niewzruszona prawda tylko dla Wacka, nie dla Julka?...

* * *

Wacek powiedział Julkowi, że za parę dni odbędzie się u niego zebranie reprezentantów wszystkich kółek warszawskich. Julek był zaproszony. Ucieszył się niezmiernie, bo miało tam być też kilku starych partyjników, których poznać było jego marzeniem.

Tymczasem — czekając na dzień zebrania, waryował z niecierpliwości. Uczuł gwałtowny głód czytania. Więc... cisnął w kąt Wundtem, którego chciał studyować tak nieszczerze i raz po raz przeczytał „Also sprach Zarathustra“. Czytał to bez przerwy cały dzień i całą noc, potem znowu pół dnia i znowu noc.

Upajała go ta olbrzymia wolna poezya, pisana rytmami orlego serca, pachnąca nieskończoną miłością dla ludzi, którym pragnęła wpoić w krew czystą, jasną, hartowną moc — taką moc, która staje się szczęściem, bo wznosi się ponad ból własny i obcy, ponad żale i liryki złamanych istnień i patrzy nieustannie wprost w oblicze wieczności. Rozpacz go ogarniała wobec tego spojrzenia — nie z gwiazd, nie z obłoków, ani wszelkich „wyżyn“ kabotyńskiej mierności nowożytnych hamletowiczów — lecz z głębi ziemi — w głębie słońca. Jakby szło to spojrzenie po promieniu siły ciążenia ciał niebieskich i dusz ludzkich. Przenikał tę boską księgę szczęśliwy ból twórcy, czy bolesne szczęście tworzenia — w samotni — w upojeniu głoszoną prawdą, co wystrzelała z tej duszy schorzałej prosta i jednolita — pomimo szarpanin i rozkładu ciała i rozbicia serca,

To szczęście wnikało w Julka, hypnotyzowało go, jakby on sam był tym szczęśliwym samotnym twórcą, tym śmiejącym się lwem, to wielką Chrystusową miłością, co umie kochać kwiatem i biczem, promieniem i żelazem, twórczym zachwytem i niszczącym płomieniem.

Jakby powaga kołysań morza unosiła go na falach płynących z niewiadomej dali, z niewiadomej głębi.

Julek przypomniał sobie własne marzenia o tęsknocie — i uśmiechnął się.

Dorastam — szepnął z cichą czułością dla samego siebie.

Zapachniało mu polem, małemi ślicznemi kwiatkami nad strumykiem.

Łzy poczuł pod powiekami. Żegnał coś — dziecięce lata... Wychodził za mroczną, kamienną, czarną bramę. Wiał ztamtąd chłód, szedł zgiełk brutalny, we mgle majaczyły obojętne, ciężkie postacie, lub drwiące, skoczne, błazeńskie figurki, które znikały raptownie, zostawiając po sobie głuchą pustkę, a w niej nierozwiązalne, nieuchwytne pytania i jakby dalekie płacze — głuche zawodzenia, przekleństwa w ciemniejącem powietrzu.

Ogarnął go strach pełen ciekawości palącej...

* * *

Wacek i Litwin mieli dwa pokoiki z oddzielnem wejściem, dość odosobnione, w wieżyczce narożnego domu, na czwartem piętrze.

Meble składały się z dwóch łóżek, dwóch stołów, lampy, trzech krzeseł wiedeńskich, steranych w potrzebach życia (z jednego połowa trzcinowego wyplatania zwisała beznadziejnie, drugie „trochę rozjeżdżało się“ — jak mówił Litwin), jednego stołka kuchennego, złamanego lichtarza, małej szafki na rzeczy, miednicy, dwóch szklanek i butelki po piwie.

Osobne, honorowe miejsce (nad łóżkiem, koło stołu i okna w pokoju Wacka) zajmowały małe półki koszykowej roboty z dwoma rzędami broszur i książek. Nad żelaznem łóżkiem Wacka, zasłanem cienką kołdrą na sienniku i małą rozpadającą się poduszką, wisiał portret „pana“ roboty Julka oraz kilka karykatur „tegoż pędzla“ profesorów gimnazyalnych i kolegów.

Ach prawda, pod łóżkiem Litwina leżała ciężka jego skórzana waliza, w pokoju Wacka (drugim z rzędu) stał chłopski zielony kuferek „pana“ z półokrągłem wiekiem.

Kuferek oczywiście zastępował nieraz kanapę.

Julek, wchodząc na schody, przypomniał sobie nagle, że Wacek spełniał jakiś ważny urząd partyjny. Raz zauważył nawet przypadkiem u niego hieroglificzne notatki, dziwne pieczątki...

I on się dziwił dlaczego, jak to sobie teraz przypomniał, Wacek trzymał się podczas demonstracyi majowych nieco na uboczu i dlaczego nie chciał być aresztowanym.

To przecież pachniało „wsypą“ tylu osób!

Uczuł do Wacka jeszcze większą przyjaźń. Oto jest człowiek, który wszystko robi poprostu i w milczeniu! Woli uchodzić za obojętnego, czy tchórzliwego, niż zdradzić choćby cień swojej tajemnicy.

Skakał po trzy schody naraz, żeby go prędzej zobaczyć. Zadzwonił trochę głośno — ale i tak tam było gwarno, jak w ulu. Nikt widać nie zachowywał zwykłych środków ostrożności. Cieszono się ze zbliżenia, z poznania nieznanych, równie młodych, a równie czujących — cieszono się, że jest ich tylu — ach, któżby się tego spodziewał! Kiedy się myśli i czuje wśród bezmyślności, tępoty i gnuśności, spotkanie jednego c z ł o w i e k a wzrusza. A tu ich tylu! To siła, to przyszłość! To już powaga twórczego i pięknego życia przemawia! To żywy, zdrowy organ w społeczeństwie — żywa inicyatywa walki, żywa nadzieja zwycięstwa. To już nie niepewne, senne błądzenie kilku żywych wśród trupów.

Hej! Młodość!!

Julka przeniknął zimny dreszcz entuzyazmu, gdy tam wchodził i podawał w milczeniu rękę nieznanym przedtem towarzyszom. Po co to nazwiska! przemknęło mu przez głowę. Nikt nie wie nazwisk wzajemnych, a tak nam razem, jakbyśmy się razem chowali.

Co za twarze! Co za oczy!

Było tam kilkunastu młodzieńców i kilku starszych mężczyzn. Dwa pokoiki oświetlały dwie świece w butelkach i jedna lampa. Dym tytoniowy przyćmiewał blaski tej „iluminacyi“, jak mówił Wacek, ale gorejące oczy i rozpłomienione twarze czyniły jasność większą niż kandelabry elektryczne w sali balowej.

Zaznajamiano się, patrząc sobie w oczy z miłosną nieledwie ciekawością. U nas tak — u was tak. — Okazało się, że wszędzie było już dawno „tak“. Wszędzie tworzyły się grupy czujących serc i myślących głów. Podziw ogarniał Julka coraz większy, radość rozpierała mu piersi. Nieraz myślał, że jego grupa, to z trudem zebrana garść osamotniona zupełnie, oddzielona od społeczeństwa chińskim murem głupoty, przesądów, strachu, apatyi, nieuctwa, cynizmu, robigroszostwa, barbarzyństwa, „pracy organicznej“, „rozsądku“, najbrutalniejszego egoizmu i wszelkiej prostytucyi moralnej. A tu naraz — armia cała do ataku!

Z tyloma ludźmi można rozmawiać! Trzeba rozmawiać — uczyć się od nich — dodawał natychmiast i widział dopiero teraz, jak mało w tych sprawach się obracał.

Byli tam młodzieńcy gimnazyalni z wykształceniem takiem, że mogliby śmiało zdawać doktoraty. Niektórzy milczeli, skupieni w sobie, a cięli oczyma, jak toporem.

Byli entuzyaści, którzy wypowiadali całe mowy do sąsiadów. Były też szare ciche postacie, na których łagodnych twarzach malowała się pogodna, rozrzewniająca dobroć. Byli ambitni, ruchliwi partyjnicy, którym oczy biegały szybko, lustrując przenikliwie każdego, jakby to zbliżał się już termin jakichś wyborów, jakby już trzeba było myśleć o środkach zyskiwania wielbicieli.

Siedziano na łóżkach, na sławnym kuferku Wacka, na ruszających się, jak żywe, krzesłach, na stole, na stołku kuchennym, na parapetach okien. Niektórzy chodzili wziąwszy się pod ręce, lub z rękami opartemi na ramionach towarzyszów — i mówili, mówili, mówili — wciąż nowe, a wciąż podobne, roznamiętniające rzeczy — wciąż nowe szczegóły tej gerylasówki ideowej, w której bronią były z jednej strony słowa, broszury, książki i zebrania, a z drugiej więzienia, nachajki, policya, żandarmerya, oparta na armii milionowej, oraz bezpośrednio — na cytadeli z armatami, wymierzonemi na miasto. Ta walka toczyła się o panowanie nad obojętną masą społeczeństwa. Bo pomimo frazesów patryotycznych jasnem było dla przenikliwie patrzących oczu stron obu, że ta masa, grozą klęsk objęta, nie była narodem, nie należała do żadnej, przez życie narzuconej łączności, choćby ze względu na swoją bierność. A bierne posłuszeństwo czemże jest? Należeniem do tego, kogo słuchamy. Niewolnictwem.

Terenem walki nie były góry, ani lasy, lecz wielkie i małe ulice miast, wielkie i małe mieszkania, dorożki, tramwaje. Dziwna walka. Tłum nazywał budzących lud wrogami polskości...

— — — — — — — — — — — —

Julek dowiedział się o strasznych wyrokach, bezgranicznych poświęceniach, czynach odwagi szesnastoletnich chłopaków, czterdziestoletnich powagą, o których tylko słyszał dotychczas zdaleka, tajemniczo — odkrywał, że ma towarzyszów wśród ludzi, którzy wydawali mu się jaknajdalsi od wszelkich działań po za zarobkową pracą — widział, że braknie niektórych jego przyjaciół — jednego z nich czekał los okropny: zabił szpicla, groziło mu powieszenie.

Julek przypomniał sobie, kiedy pierwszy raz wyszedł na jakąś oddaloną ulicę, gdzie miano rozdać świeże egzemplarze „Robotnika“.

Weszli do pokoiku ciemnego, prawie bez mebli. Na środku stał stół, na nim paliła się migotliwie świeca. Siedzieli wokoło stołu we trzech i czekali.

Serce Julkowi biło jak młotem. Nie przychodzi! Może schwytany po drodze? Może lada chwila drzwi się otworzą — zabrzęczą ciężkie ostrogi...

Zapukano. Wszedł „on“ z dużą paczką, którą natychmiast otworzył i zaczął liczyć egzemplarze. Odliczywszy garść, podał jednemu z trzech oczekujących, odliczył drugą — potem trzecią — podawał kolejno...

Trwało to wieki całe... Julek bladł, serce rwało mu się w piersiach ze wzruszenia — no i — mój Boże — i ze strachu także...

Im życie upływało w takich wrażeniach. I cóż nawet znaczyły takie! takie — to już chleb powszedni — to już nie wrażenia — robiło się to tak, jak Julek rysował, kładł się spać lub zasiadał do obiadu.

A potem czytanie numeru...

Julek się później przyzwyczaił do „bibuły“...

(C. d. n.)

W. LIS.

PO MAROKKO — TRYPOLIS.

Jeszcze nie przebrzmiały echa runu na kasy oszczędności niemieckie, wywołanego pogłoskami, a nawet pozornem prawdopodobieństwem wojny między Francyą a Niemcami, a już mamy nową groźbę zatargu zbrojnego. Antagonistami są tym razem Turcya i Włochy, przedmiotem sporu — Trypolis, na który Włochy już oddawna pożądliwem okiem spoglądały. Pretekstem oficyalnym dla akcyi, którą Włochy zainicyowały, jest rzekome pokrzywdzenie interesów kolonistów włoskich, zaludniających Trypolis, oraz finansistów, mających z tą prowincyą do czynienia. Nie wypowiadaną otwarcie, ale powszechnie — przynajmniej w świecie dyplomatycznym — uznawaną przyczynę stanowi „konieczność“ rekompensaty dla Włoch za łupy, mające przypaść w udziale Francyi, Niemcom i Hiszpanii po ostatecznem zdławieniu Marokka.

Na tę ostatnią okoliczność warto zwrócić uwagę. Jest ona zwiastunem dokonywającego się na naszych oczach bardzo charakterystycznego zwrotu w praktyce dyplomatycznej. Wracają się czasy z przed Wielkiej Rewolucyi, schyłkowa epoka rządów szlachecko-absolutystycznych, gdy monarchie „chrześcijańskie“ odrzuciły wszelkie zużyte i zawadzające strzępy „wartości moralnych“ i w praktyce międzynarodowej zapanował nagi, cyniczny gwałt. Jeszcze niedawno, w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, szło zwykle o przeciwieństwa natury zasadniczej, przynajmniej zaczepiający starał się tem upozorować swe postępowanie. Nawet carat, rzucając się na Turcyę, występował w obronie „chrześcijaństwa“, „słowiańszczyzny“ itp. pięknych rzeczy. Z tą przestarzałą tradycyą zerwało cesarstwo niemieckie. wysyłając do Agadiru okręt wojenny, wbrew zaprzysiężonym traktatom i gwoli tylko nażywy, dając odrazu do zrozumienia, że mu nie idzie bynajmniej ani o Marokko, ani o jego „najświętsze prawa“ (których cesarz Wilhelm obiecywał bronić w r 1901), ale o zapłatę za neutralność. Przykład poskutkował. Włosi pokazali, że potrafią być „tymi samymi Niemcami, ino jeszcze gorszymi“ — jak się wyrażał sienkiewiczowski Bartek „Zwycięzca“. A w ich ślady pójdą pewno i inni. Dyplomacya staje się bardziej szczerą, odrzuca ideologiczne obsłonki, czego, nawiasem mówiąc, tylko życzyć sobie można, w interesie demokracyi międzynarodowej! Gdyż jawny gwałt daleko łatwiej wywoła oburzenie i protest od tego gwałtu, obwiniętego w bawełnę frazesu patryotycznego lub humanitarnego.

Nie o psychologię imperyalizmu idzie nam jednak, lecz o wykazanie przyczyn, które wywołują te powtarzające się wciąż zatargi międzypaństwowe, czyniąc prawdopodobieństwo wojny coraz większem. Wskazywaliśmy już poprzednio niejednokrotnie za dwa fakty, cechujące istotnie, a brzemienne w źródła konfliktów. Są nimi: przebudzenie się narodów Wschodu oraz słabość Rosyi. Teraz pragnęlibyśmy wymienić pewne specyficzne interesy kapitalizmu nowoczesnego, które zmieniły zasadniczo rolę i znaczenie kolonii.

Pierwotnie szukano kolonii w celu odebrania tubylcom skarbów, które oni w ciągu wieków nagromadzili. Taki ideał przyświecał zdobywcom Meksyku, Peru, awanturnikom portugalskim, przepływającym trzy oceany dla zdobycia bajecznych skarbów Indyi. I dziś dzieje się to niekiedy, jak to widzieliśmy jeszcze niedawno, podczas zdobywania Pekinu przez wojska europejskie. Ale wkrótce straciło to znaczenie, dla braku objektu. Zato kolonie stały się rynkiem zbytu dla produktów, w dodatku rynkiem bardzo korzystnym, gdyż odgrodzonym taryfami prohibicyjnemi, wykluczającemi wszelką konkurencyę. Dla słabo rozwiniętego — w stosunku do czasów dzisiejszych — handlu z przed paru wieków była to pokusa tak silna, iż państwom stulecia XVII i XVIII opłacało się toczyć długie i krwawe wojny, by odebrać od konkurenta przemysłowego pewną ilość posiadłości zamorskich. Wieki te są wiekami wojen kolonialnych. W przedostatniem stuleciu starcia podobne stają się coraz rzadsze, gdyż kolonie tracą swe znaczenie, jako rynki zbytu. Ich ludność biedna, zadawalniająca się małem, daleko mniej produktów kupuje u metropolii, niż niejeden bogaty sąsiad europejski. Francya eksportuje np. więcej do Belgii lub Szwajcaryi, pomimo granic celnych, niż do własnych posiadłości zamorskich. I pośród innych przyczyn ta również składa się na ową boską harmonię i spokój, które tak długo panowały w Europie zachodniej, rodząc u wielu naiwnych marzycieli wiarę w bezpowrotne zniknięcie ery krwawych walk i wstrząśnień.

Aż nareszcie przyszła ostatnia faza. Dla kapitalizmu nowoczesnego państwo jest jednym z najpoważniejszych klientów. Agendy panstwa dzisiejszego rosną bez ustanku. Ogarnia ono coraz więcej gałęzi życia społecznego, a przy tej sposobności wszędzie coś buduje, kogoś ubiera, mebluje jakieś mieszkania. Produkty te nabywane są, płacone zwykle dobrze i gotówką, udzielaną na ko zystnych warunkach przez tych samych kapitalistów. A kolonia jest krajem dziewiczym. Wszystko tam trzeba stawiać od początku. Może w niej nie być ludności, ale napewno zjawią się wkrótce koleje, forty, gmachy publiczne, porty, urządzenia elektryczne, wodociągi dla urzędników itd. itd. Zdobycie nędznej kolonijki na wybrzeżu afrykańskiem, o kilku tysiącach nagiej ludności, to po paru latach perspektywa conajmniej kilkudziesięciokilometrowej kolei, portu, koszar — co reprezentuje kilkanaście milionów wydatku, mającego dostać się kilku potężnym finansistom. I n w e s t y c y e p a ń s t w o w e — to jest dzisiaj główna sprężyna polityki kolonialnej, wojen kolonialnych, imperyalizmu.

Mimochodem tylko wspomnimy o innych korzyściach, dawanych przez kolonie. Są niemi: p r o d u k t y s u r o w e, konieczne dla przemysłu, szczególniej takie, których dostać nie można gdzieindziej, jak tylko w klimacie gorącym, jak kauczuk, bawełna; na trzeciem miejscu można postawić e k s p o r t t o w a r ó w dla tubylców; pewną rolę grają też względy militarne, potrzeba stacyi węglowych na drodze do innych kolonii, bardziej odległych, zużytkowanie emigracyi itp.

Łatwo zrozumieć, że względy powyższe największą rolę grać będą w tych państwach, gdzie kapitalizm silnie, a późno się rozwinął. One bowiem, w przeciwieństwie do narodów o starszej kulturze kapitalistycznej, nie posiadają kolonii i z zazdrością muszą patrzeć na kolosalne zarobki swych konkurentów. Do tych państw należą w pierwszym rzędzie Niemcy, które też szukają bez ustanku zaczepki, pojmując, że jedynym sposobem uzyskania bogatych kolonii jest zdławienie którego z państw europejskich. W podobnem położeniu znajdują się Włochy, gdzie kapitalizm jest względnie młody, lecz dostatecznie już silny, aby używać państwa, jako narzędzia dla swych celów. Włochom nie powiodła się zupełnie próba podbicia Abisynii. Ale działo się to przed kilkunastu laty, gdy państwo włoskie znajdowało się u progu bankructwa. Dziś, mając korzystny bilans handlowy i państwowy, mieszczaństwo włoskie pragnie powetować sobie dawną klęskę i sięga po odwieczny przedmiot swej pożądliwości, po jedyny, niezajęty jeszcze przez europejczyków płat wybrzeża afrykańskiego.

O jakichś idealnych „uprawnionych" dążeniach mowy być nie może. Gdyby nawet prawdą było, że Turcya stawia kapitałowi włoskiemu przeszkody, to Turcya ma do tego najzupełniejsze prawo. Idzie zatem o zwykłą, niczem nieupozorowaną, brutalną chęć grabieży, nielepszą od najazdu Rosyi na Mandżuryę, lub próby połknięcia przez nią Korei.

Inne państwa „europejskie" zapewne przeszkód Włochom stawiać nie będą. Francya i Hiszpania zajęte są Marokkiem. Anglia ma większy od kogokolwiek interes w upokorzeniu Turcyi, gdyż posiada w samych Indyach 60 milionów mahometan, którzy grawitują ku Turcyi. Niemcy są, jak wiadomo, „sojusznikiem" Turcyi, ale na pewno porozumiały się już z Włochami i dostaną jeszcze jedną „rekompensatę".

Rozstrzygającą rolę mogłaby odegrać w tej sprawie Austrya. Jej *veto*, w tej czy innej formie wypowiedziane, powstrzymałoby napewno Włochy od najazdu na Trypolis. Spotkałoby się ono w dodatku na pewno z dążeniami socyalistów włoskich, którzy nie mają żadnej ochoty przelewać krew i tracić miliardy dla sprawienia przyjemności garści finansistów. Broniąc Trypolisu, Austrya zdobyłaby sobie wierną sojuszniczkę w Turcyi, która jest najpewniejszym jej aliantem przeciwko Rosyi.

Wątpić jednak należy, by dyplomacya austryacka zechciała pójść tą drogą. Byłoby to możebne tylko w tym wypadku, gdyby prąd antyrosyjski w Austryi był daleko silniejszy. Tymczasem jakże to ma nastąpić, jeżeli nawet w Galicyi, wśród polskich stronnictw politycznych, mamy zdecydowanych stronników „niedrażnienia" caratu.

Turcya na pewno opierać się będzie roszczeniom włoskim wedle sił. Niestety, w tym wypadku siły te nie są znaczne, gdyż wojna o Trypolis mogłaby być tylko wojną morską, a na tem polu odnowiona monarchia turecka słabą jest dotąd. Nie jest zatem wykluczone, że w ostatecznym wyniku cała ta zawierucha zakończy się kompromisem.

INŻ. WŁADYSŁAW SIKORSKI.

SPRAWA DRÓG WODNYCH.

I. Epokowa ustawa o budowie dróg wodnych w Austryi, wniesiona z inicyatywy ówczesnego prezesa ministrów w r. 1901 przed forum parlamentarne, u samego poczęcia swego nosiła zarodki przyszłych niedomagań i niebezpieczeństw. Nie zrodziła jej bowiem dobrze zrozumiana potrzeba natury gospodarczej, ale wywołały ją względy wyłącznie polityczne.

Tak olbrzymie przedsięwzięcia gospodarczo-techniczne objęte ustawą, jak inne projekty wniesione równocześnie w parlamencie wiedeńskim, a mogące sprowadzić niezmiernie doniosły zwrot w kształtowaniu się sił wytwórczych państwa zaniedbanego na polu gospodarstwa wodnego ponad wyraz wszelki, miały przedewszystkiem olśnić swą wspaniałością reprezentantów ludowych, odwrócić ich uwagę od przybierających niezwykle ostre formy sporów narodowościowych, które rozluźniały wewnętrzne spoidła państwa, godząc w jego przyszłość i w jego byt.

Drogi wodne miały być przy tem wynagrodzeniem dla krajów północnych Austryi za koleje alpejskie i inne wielkie, a kosztowne przedsięwzięcia. Bo nie o podtrzymanie stosunków handlowych z zagranicą i krajami zamorskiemi chodziło przy projektowaniu bezpośredniego połączenia Wiednia z morzem Adrya-

tyckiem. Cały bowiem prawie handel zamorski i dzisiaj jeszcze idzie utartą drogą na Budapeszt. Nie było ich celem podnieść potęgę państwa Habsburgów. Bezprzecznie — wielkomocarstwowe stanowisko monarchii zyskiwało wielce na tem połączeniu wnętrza państwa z wybrzeżami morskiemi: wzmocniła się jej pozycya strategiczna w stosunku do „sprzymierzonych" Włoch przez wybudowanie najkrótszych linii kolejowych do granic południowych. Najwięcej jednak zyskiwały na budowie kolei alpejskich dumne zamiary Wszechniemców, którzy przez połączenie Berlina z morzem Adryatyckiem rozszerzali znacznie sferę swych wpływów w stronę południową, uzyskali znakomite arterye, któremi sączyć się będą coraz to wyraźniejszym strumieniem wpływy pangermańskie. Zyskiwał na tem przedewszystkiem „sprzymierzeniec w błyszczącej zbroi", który dla siebie pracuje, starając się przekuć Austryę w silne państwo morskie.

Nic dziwnego, że plany te i zamiary nie entuzyazmowały Słowian austryackich. Aby ich pozyskać, podniesiono równocześnie ze strony rządu olbrzymie inwestycye wodne, których kraje północne i państwo całe od lat dziesiątek bezskutecznie oczekiwały.

Ustawa odrogach wodnych sankcyonowana w dniu 11 czerwca 1901 roku, postanawia budowę kanałów spławnych między Dunajem, a Odrą; Dunajem, a Weltawą koło Budziejowic łącznie z kanalizacyą Weltawy od Budziejowic do Pragi; dalej połączenie spławne Dunaju-Odry-Łaby i kanalizacyę Łaby; wreszcie budowę kanału spławnego Dunaj-Odra-Wisła i połączenie Wisły ze spławną przestrzenią Dniestru. Wszystkie te budowle miały być podjęte pod warunkiem, że kraje w budowie bezpośrednio interesowane przyjmą na siebie zobowiązanie płacenia rocznej kwoty, potrzebnej na oprocentowanie i amortyzacyę j e d n e j ó s m e j k o s z t ó w budowy d o t y c z ą c e g o kanału. Warunek ten przyjęły wszystkie interesowane kraje koronne, a więc Galicya, Czechy, Austrya dolna i górna, Morawy, z wyjątkiem Ślązka, gdzie sejm dotychczas nie powziął potrzebnej w tym kierunku uchwały. — Pozatem od roku 1901 miała się rozpocząć racyonalna regulacya rzek i zabudowanie potoków górskich, które wskutek wiekowego zaniedbania i wskutek barbarzyńskiej dewastacyi lasów podkarpackich stały się dla nas niewyczerpanem źródłem żywiołowych, powtarzających się coraz częściej wylewów i zamiast być postawą dobrobytu i odrodzenia ekonomicznego kraju, przynosiły mu już nieraz milionowe szkody.

Austrya rozporządza nadzwyczaj rozgałęzioną siecią naturalnych wód — a pomimo to z wewnętrznego ruchu towarowego przypada na komunikacye wodne zaledwie 6% — a na koleje żelazne 94%. Bez kwestyi przyczyn tego zjawiska szukać należy i w tem, że wiele rzek spławnych przepływa Austryę w górnym tylko biegu, najpoważniejszym jednak powodem tego niezdrowego stanu, jest brak prawie kompletny sztucznych dróg wodnych w państwie. Krótki kanał spławny, idący z Wiednia do Wiener-Neustadt, był i jest jedynym objawem inicyatywy państwa w tym kierunku, a jako anachronizm techniczny od samego początku swego istnienia prowadził suchotniczy żywot — dziś zaś nie funkcyonuje wcale.

Najbliżsi sąsiedzi nasi — jak Niemcy (11800 klm. dróg wodnych), Francya (12150 klm.) a także inne państwa Europy i Ameryka posiadają rozległą sieć taniej komunikacyi wodnej — rozporządzają znakomitą bronią w konkurencyi światowej na polu ekonomicznem w stosunku do państwa naddunajskiego. I dlatego było dlań rzeczą wprost nieodzowną uregulować rzeki spławne — sztucznemi kanałami połączyć odrębne zlewnie i wytworzyć przez to jednolitą sieć dróg spławnych, zdatnych do przejazdu dla wielkich statków.

Rozumiał to doskonale rząd w r. 1901 i motywując swe przedłożenia umiał się zdobyć nie tylko na rzeczowe argumenty, lecz także na szczery zapał i entuzyazm w zwalczaniu niesłusznych przesądów w stosunku do dród wodnych. Nie obawiał się wówczas trudności technicznych, jakie zachodzą przy przekroczeniu działów wód, nie obawiał się wpływu niekorzystnego na kalkulacyę finansową dróg wodnych jak i ekonomicznego efektu tak pod finansowym, jak ekonomicznym względem. Owszem stwierdził on z całą otwartością, że w danym wypadku doniosłe wyniki gospodarcze przedsięwzięcia — na jego czoło wybić się powinny i przytłumić inne racye uboczne.

Dla Galicyi realizacya omawianej ustawy nieocenione wprost miała znaczenie. Pozostawiając na później szczegółowsze omówienie tej sprawy, podnieść tutaj muszę z całą stanowczością, że cała gospodarcza przyszłość kraju zależy od przeprowadzenia drogi wodnej od Dunaju i Wiednia — do Wisły i Dniestru przez Kraków. Ona może nas wyrwać z zależności od obcej, a wrogiej nam produkcyi. Kanał ten umożliwi nam eksploatacyę wielkich bogactw mineralnych, a w szczególności węgla kamiennego, którego pokłady w zagłębiu krakowskiem bajeczne wprost określają cyfry. I gdybyśmy nie mieli zaufania do górników krajowych w tym kierunku — mamy pod ręką świadectwo niemieckiego badacza Dr. W. Petraschka z państwowego zakładu geologicznego we Wiedniu, który cyfrę użytkowego węgla w zagłębiu krakowskiem — a więc po odliczeniu 33% na załamy i straty podaje na 25 miliardów ton, podczas, gdy według tegoż samego autora cała Austrya posiada 28 miliardów ton węgla kamiennego. Pomimo tak olbrzymich zapasów produkujemy zaledwie 10% produkcyi austryackiej, a że tak jest, winien temu przedewszystkiem brak dobrych komunikacyi; powoduje to nieświadomość zarządu kolei państwowych, którzy w krytycznym dla naszej konjunktury węglowej roku 1907/8 nie pozwolił kopalniom krakowskim wyzyskać odpowiednio swych urządzeń.

Brak komunikacyi wodnej, która w naszych stosunkach sceptycznie bardzo biorąc o 50% taniej transportowałaby węgiel kamienny, brak zrozumienia własnego interesu powoduje, że nie możemy dotychczas pokryć całego zapotrzebowania węgla w Galicyi własnym produktem, sprowadzając do siebie okrągło 145.000 wagonów węgla rocznie z Górnego Ślązka — na 280.000 wagonów, które kraj cały wraz z kolejami galicyjskiemi konsumuje corocznie.

Drogi przewóz koleją w kraju niezmiernie wydłużonym jak Galicya powoduje brak opału w jej części wschodniej. Przewóz bowiem wagonu węgla z Krzeszowic do Zaleszczyk kosztuje 159 K. podczas, gdy przeciętna cena wagonu węgla loco kopalnia wynosi 150 K. A że na zniżkę taryfową się wcale na kolei państwowej nie zanosi, tembardziej, że nawet na znaczne odległości kolej przewozi towar masowy zaledwie z bardzo małą nadwyżką ponad koszta własne (wielu znawców twierdzi, że nawet poniżej kosztów własnych) więc też zaradzić może złemu jedynie tylko wyzyskanie drogi wodnej, której budowę zapewniła nam ustawa z 1901 roku.

Otwiera ona nam zresztą pole zbytu dla węgla krajowego nie tylko na wschód do wnętrza kraju, lecz

także i na zachód na Śląsk, Morawy i do Wiednia. Jeżeli zważymy, że sam Wiedeń na cele prywatne spala obecnie więcej niż cała Galicya, jeżeli sobie uprzytomnimy fakt, że rewir ostrawski, z którego kraje zachodnie czerpią węgiel, przechodzi już zenit swej produkcyjności, że wreszcie Austrya wskutek braku odpowiednich urządzeń technicznych—pomimo olbrzymich wprost zapasów galicyjskich jest w środkach opałowych bierną, płacąc corocznie zagranicy bardzo poważne za nie kwoty (w r. 1908 zapłacono za węgiel i koks 78,000,000 K.) zrozumiemy jaka perspektywa rozwoju otwiera się w przyszłości przed zagłębiem krakowskim — o ile te rozwój uzyska naturalne podstawy przez wybudowanie tanich środków komunikacyjnych.

Toż samo stwierdzić musimy i w stosunku do innych masowych płodów galicyjskich, jak ropy, wosku ziemnego, drzewa, soli, solanki, cynku, kamienia, cementu, dolomitu, wapna i wszystkich wreszcie produktów rolniczych. I w każdym kierunku widzimy jedno i to samo, że bez dróg wodnych jak dotychczas tak i nadal kraj nasz nie będzie mógł wykorzystać należycie swych bogatych zasobów naturalnych, nie potrafi on skrzepić swego organizmu produkcyjnego, rozwinąć przemysłu, a przez to podnieść siłę ekonomiczną ludności. — Bez dróg wodnych pozostaniemy nadal — źródłem niewyczerpanych dochodów dla obcych, a wrogich nam kapitalistów, którzy na niezaradności naszej i przetwarzaniu przemysłowem surowych galicyjskich produktów, kolosalne porobili majątki. Pozostaniemy nadal siedliskiem przysłowiowej nędzy i ciemnoty — dostawcą najtańszych sił roboczych, które obecnie wzmacniają przedewszystkiem, naszych gospodarczych i politycznych przeciwników.

Bez dróg wodnych, o których mowa, nie wykorzystamy nigdy tego niezmiernie dodatniego położenia geograficznego Galicyi, w którem nawet nieszczęśliwa konfiguracya kraju nieproporcyalnie wydłużonego z zachodu na wschód odgrywa wybitną rolę. Galicya jest jakby powołaną do utrzymania handlu tranzytowego pomiędzy Rosyą, a zachodem. Wskutek jednak tego, że koleje galicyjskie nie są w stanie nawet w przybliżeniu podołać ruchowi towarowemu od granicy podolsko-rosyjskiej w głąb monarchii idącemu — bardzo wielki ruch transytowy z południowej Rosyi na zachód omija Galicyę i idzie na Niemcy, zapewniając im znaczne handlowe i gospodarcze korzyści. Te drogi wodne — po odpowiednich budowlach wodnych, któreby nieodzownie Rosya w Królestwie polskiem przeprowadziła w następstwie budowli austryackich — złączą dawną Rzeczpospolitą polską w jedną gospodarczą całość.

Ze stanowiska zaś państwowości austryackiej rzecz oceniając musimy przyznać, że kanał galicyjski, łącznie ze spławną Wisłą od Mielca do Sandomierza, podniesie w wysokim stopniu sprawność strategiczną monarchii na jej najważniejszym terenie wojennym — bo na północy.

Pomimo tych wszystkich korzyści, o których możnaby pisać w nieskończoność prawie, pomimo oficyalnej szczerości i zapału, z jakim rząd polecał swoje projekty wodne w r. 1901 zastępcom ludów austryackich, u samego już wstępu nie wierzył nikt prawie w realizacyę proponowanej ustawy.

Nie wierzył w to ówczesny prezes ministrów Koerber, poruczając pieczę nad sankcyonowaną ustawą ministerstwu handlu, które pozostawało i pozostaje pod wyłącznym wpływem wielkich przemysłowców austryackich. Mieliżby się ci przemysłowcy zgodzić na to, ażeby w przyszłości stracić Galicyę — ten naturalny rynek zbytu dla niemiecko-czeskiej tandety przemysłowej? Jakto, mogliżby oni spokojnie patrzeć na powstanie w Galicyi taniej komunikacyi, którą sprowadzaćby można było dobrą i nie drogą rudę żelazną z południowej Rosyi, a przez i wobec bogactwa węgla kamiennego w kraju uzyskać naturalne podstawy wielkiego przemysłu?

Przenigdy. Samodzielność przemysłowa i gospodarcza Galicyi, to równocześnie poważne zagrożenie interesów przemysłowych niemieckich i czeskich, a że do strzeżenia tychże są powołane przedewszystkiem władze centralne państwa — więc też obowiązkiem ministerstwa handlu jest pogrzebanie — anulowanie obietnic, które tak lekkomyślnie rzucono w 1901 r. zaniedbywanej i wyzyskiwanej przez państwo wciąż Galicyi. W pełne wykonanie z trudem zdobytej ustawy nie wierzyło zdaje się ówczesne Koło Polskie i jego regimentarz Jaworski. — Nie miał tej wiary i Sejm galicyjski, który pomimo tego, że rok wcześniej od sejmu czeskiego powziął potrzebne do budowy kanałów uchwały nie umiał się zdobyć na tę egzekutywę czynną, przy pomocy której naród czeski wyciągnął już wszystkie korzyści, jakie mu zapewniała ustawa z roku 1901 — zużytkowując te 51.4 milionów koron, które mi w pierwszym okresie budowy 1904—1912 zapewniała.

Myśmy byli szczęśliwi, że w r. 1901 przynajmniej uzyskaliśmy podstawy racyonalnej regulacyi rzek, które wskutek długoletniego niedbalstwa ze strony rządu centralnego stały się klasycznym przykładem w Europie kompletnie zdziczałych wód naturalnych, będących postrachem dla okolicznych właścicieli.

W radości swej naiwnej zapominaliśmy o tem co nam dawała ustawa sama, nie pamiętaliśmy o owych 336,839.911 kor., które wprowadzone w czasie budowy w cyrkulacyę gospodarczą i konsumcyjną kraju — musiałyby ożywić znaczenie jego przemysłową i rolniczą produkcyę.

Zapominamy dotychczas o tem, że za tę poważną inwestycyę gospodarczą zapłaciliśmy już z nawiązką, godząc się na budowę kolei alpejskich, portu w Tryeście i budowę dróg w Tyrolu — kanalizacyę Dunaju i budowę kosztownych bulwarów wiedeńskich, budowę miejskiej kolei w stolicy państwa, na upaństwowienie kolei prywatnych, na czem zarobili przedewszystkiem Czesi, a które obciążyło skarb państwa sumą 1,236.396 koron.

(Dok. nast.)

Z TEATRU.

(*„Fircyk w zalotach“* — komedya w 3 aktach Fr. Zabłockiego. *„Kawa“* — komedya w 1 akcie ks. A. Czartoryskiego. *„Staruszka młoda“* — kom. w 3 aktach Fr. Bohomolca. *„Nieznajomy tancerz“* — komedya w 3 aktach Tristana Bernard'a.)

(S. F.) Niedawno dyrekcya teatru lwowskiego poczyniła wiele dla publiczności, zajmującej się sztuką polską, bardzo ważnych obietnic. W osobnym komunikacie zapowiedziała wystawienie w tym roku całego cyklu przedstawień retrospektywnych, mających dać

obraz rozwoju dramatu polskiego, począwszy od Bohomolca i Zabłockiego aż do Wyspiańskiego. Program tych przedstawień objął kilkadziesiąt utworów, z których kilka doczeka się odgrzebania z pod pyłu bibliotek i próby scenicznej w innych czasach i w innych warunkach, niektóre zaś po raz pierwszy ujrzą światło dzienne na deskach naszego teatru.

Zamiar więc godny przyklasku!

Czy jednak siły godnie odpowiedzą nieco — powiedzmy szczerze — w stosunku do dotychczasowych wyników za śmiałemu zamiarowi?

Zachowując odpowiedź na dopełnienie obietnicy, zwróćmy uwagę na pierwsze przedstawienie tego cyklu — na „Fircyka w zalotach", który po wielu, bardzo wielu latach ukazał się na scenie. Czy warto go było budzić z długotrwałego snu? Wszak, gdy go w Warszawie już w r. 1815 wznowiono, jeden z krytyków w ostrych słowach gromił pomysł odgrzebania tej komedyi, grzeszącej w jego mniemaniu zupełnym brakiem smaku!... Tempora mutantur...

A jednak na naszej scenie Fircyk wyszedł zwycięzko z próby. Okazało się, że pomimo wielu wad, z których zdajemy sobie sprawę, jak pomysłu nieoryginalnego, lecz przejętego z komedyi francuskiej, braku żywszej akcyi i jakiejkolwiek intrygi, Fircyk zachował wartość pierwszej komedyi w całem tego słowa znaczeniu polskiej. Jest wprawdzie tylko przeróbką, jednak stworzoną z takim talentem, że godnie poprzedza arcydzieła Fredry.

Pięknością zaś nigdy niezatartą Fircyka pozostanie język, który pod piórem Zabłockiego nabrał lekkości i wdzięku takiego, że nietylko przestał krępować, lecz swą potoczystością ożywia dyalogi. Prócz języka pozostały świetne linie charakterystyki głównych osób, niekiedy tak subtelne, jak w późniejszej komedyi, a od początku do końca przeprowadzone zgodnie z prawdą psychologiczną i konsekwentnie. Czasem zaś i dziś zastanawiają w Fircyku i w innych dziełach Zabłockiego myśli społecznie bardzo ważne, podane w formie artystycznej z uśmiechem pisarza patrzącego na sprawy rozgrywające się w tej przełomowej dla naszego narodu chwili okiem wielkiego obywatela i patryoty.

Treść komedyi jest wprawdzie bardzo skąpa, zaloty Fircyka uwieńczone zdobyciem serca Podstoliny, jednak tak subtelnie i z taką znajomością podobnych typów na scenie przeprowadzone, że widz nawet dzisiejszy słucha z przyjemnością wiersza płynnego, bez skazy, świeżych dotąd dowcipów, patrzy na niektóre sytuacye prawdziwie komiczne, z istoty charakterów wypływające i z chęcią zamyka oczy na — ówczesnym szablonem, przez usta służących — podaną ekspozycyę i przedstawienie bohaterów komedyi, na pomoc, jaką taki Świstak oddaje kochankom, jak i autorowi w szczęśliwem rozwiązaniu kabały miłosnej i t. d.

Przedewszystkiem zaś wdzięczność należy się artystom, gdyż całem sercem i grą swą przyczynili się do uświetnienia tej pierwszej naszej komedyi. P. Nowacki świetnie pojął i odtworzył rolę zdobywcy serc niewieścich z końca ośmnastego wieku, a pani Siemaszkowa czułą i sentymentalną Podstolinę. P. Feldman w roli Pustaka w myśl intencyi autora ożywiał humorem i werwą niektóre sceny. Wiersze recytowano poprawnie, prócz p. Fritschego, który w roli samego Zabłockiego, oddawał Fircyka Stanisławowi Augustowi. A działo się to w obrazie żywym, przedstawiającym historyczne posiedzenie czwartkowe u Króla Jegomości. Pomysł tego obrazu zupełnie nieszczęśliwy, jak wygłoszenie tych kilku bardzo ładnych sekstyn przed królem. Twórcy tego pomysłu przyświecały chyba tylko cele pedagogiczne — trzeba więc było podobny wstęp odłożyć do przedstawienia „Fircyka w zalotach" dla młodzieży szkolnej.

Na drugie przedstawienie cyklu utworów dramatycznych polskich dyrekcya wybrała „*Kawę*" ks. Adama Czartoryskiego i „*Staruszkę młodą*" Fr. Bohomolca. Przyznać trzeba, że wybór był trafny: obie sztuki dały obraz początków, z jakich rozwinęła się komedya nasza.

Książę Generał, prawdziwy mecenas literatury naszej w XVIII wieku, znał jak rzadko kto w tym czasie istotę sztuki scenicznej, jej mistrzów europejskich, był jej wszechstronnym teoretykiem. Celem jego rozpraw estetycznych było krzewienie w społeczeństwie polskiem, które w swym rozwoju kulturalnym w epoce saskiej daleko pozostało za zachodnią Europą, smaku dobrego i zamiłowania do dzieł prawdziwej sztuki. Bo teatr uważał książę Generał za najlepszy środek rozszerzania oświaty i działania w duchu obywatelskim na szerokie masy.

Nie zadowoliły go jednak teoretyczne rozprawy. By zaradzić brakowi utworów polskich, jaki się ujawnił z otwarciem teatru w Warszawie, sam chwyta za pióro i pisze „*Kawę*", którą w dedykacyi do Imci Pana J. Szymanowskiego skromnie określa jako „mało znaczny płód kilku próżnych godzin".

„Kawa" nie ma nic wspólnego — prócz dyalogu — z nazwą dramatu: brak zupełny jakiejkolwiek intrygi, pozornej choćby akcyi. Autor zdaje sobie sprawę z tych wad i w dedykacyi zaznacza, że dzieło jest bardziej »dyalogiem, czyli rozmową, jak komedyą«, że celem tego rodzaju sztuk jest »chwytanie i censurowanie błędów«, a największą zaletą może być tylko krótkość.

Czy autor podołał temu zadaniu, jakiem było wykazanie i ośmieszenie na scenie błędów społeczeństwa? Środkiem w takim dyalogu może być tylko świetna charakterystyka osób występujących. Co do tej jednak można wiele zarzucić autorowi: zawiódł go dowcip jak i talent. Osoby występujące w »Kawie«, mające reprezentować cechy warszawskiego towarzystwa, bezkrytycznie wzorującego się na francuzczyźnie scharakteryzował niedołężnie. Mimo to dla nas »Kawa« ma znaczenie obrazu obyczajowego z XVIII w., skreślonego dość oryginalnie i dzięki temu zasługiwała na odgrzebanie.

Dyalog prowadzony jest nie bez wdzięku, a nawet w niektórych scenach, jak w sprzeczce Szastańskiego z Sentymencicką nieco interesuje. Charakterystyka niektórych osób ciekawa choć powierzchowna. Osoby, które autor przeciwstawił temu światkowi nudów, próżności i plotkarstwa grzeszą bladymi rysami, napuszystością tyrad w duchu obywatelskim — jednem słowem zdradzają naiwne ujęcie i zbyt tendencyjne traktowanie.

Artystom naszym nie powiodło się odtworzenie tego światka. Dyalog płynął wprawdzie poprawnie, lecz powolnie. Usiłowania ożywienia tego skromnego — lecz dodajmy i nudnego płodu spełzły na niczem (np. ze strony pp. Rasińskiego, Jankowskiej i Schnage). P. Rotterowej należy się wdzięczność za czystą i poprawną wymowę, która w »Kawie« jest koniecznym warunkiem. Pod tym względem zgrzeszył p. Mierzejewski: mówił niewyraźnie, a nawet połykał słowa. A propos: czy nie można uniknąć szablonu w przy-

bieraniu postawy i podnoszeniu głosu przy wygłaszaniu tendencyjnych myśli autora? Czyż bez tego publiczność nie zrozumie, że to do niej autor adresuje? Jest to jedna z rutyn aktorskich, głęboko zakorzenionych na naszych deskach (Bischofswerder w »Fryderyku« Nowaczyńskiego!)

W »*Staruszce młodej*« jak w innych swych komedyach wykazał Bohomolec znajomość sceny i wprawę nabytą długoletniem doświadczeniem w preparowaniu mniej lub więcej udatnem charakterów i intryg. Sławny autor sztuk bez ról kobiecych(!), przeznaczonych dla scen konwiktowych, bez skrupułu czerpie, skąd się tylko da motywy tak kompozycyjne jak charakterowe, spaja je nieraz z powodzeniem w jedną całość i tak stosownie do sił swego talentu pracuje około sceny polskiej. W tem też wielka jego zasługa.

Ten zmysł sceniczny podziwialiśmy niedawno. Proszę bowiem zważyć: w czytaniu »Staruszka« jest nie tylko stara, lecz wprost nudna; kilka dowcipów, gubiących się w szarym dyalogu, skąpa intryga, niedołężnie i rozwlekle wijąca się poprzez aż trzy akty, charakterystyka osób, prócz bohaterki blada i mało interesująca.

Tymczasem na scenie (powiedzmy z dumą: naszej, w rękach Gostyńskiej i Feldmana) komedya czcigodnego Ojca Jezuity zmienia się i ożywia, sceny z pomocą Katrynki i Figlackiego wartko płyną do szczęśliwego rozwiązania, intryga interesuje i przedewszystkiem dowcipy i humor Figlackiego bawią, a osoba »młodej« Umizgalskiej wdziękami swymi czaruje rozbawionych widzów — w ostatniej scenie jedna nawet współczucie.

Prócz p. Gostyńskiej, która rolą Umizgalskiej wzbogaciła szereg swych świetnych kreacyi i p. Feldmana, niezrównanego Figlackiego, z temperamentem roznoszącego życie i śmiech po scenach komedyi, uznanie za dobrą grę należy się także p. Dobrzańskiej. Dodać trzeba, że komedye nasze cieszą się wielką pieczołowitością reżyseryi i wykonawców wszystkich, wystawiane są z należytem i wszechstronnem przygotowaniem. Zwłaszcza pamięciowe opanowanie ról jest niemal u wszystkich artystów doskonałe. Publiczność, jak dotychczas, okazuje wielkie zainteresowanie zabytkami naszej literatury dramatycznej.

— — — — — — — — — — —

W pierwszym, bardzo romantycznym akcie, Tristan Bernard zapoznaje swych bohaterów. Młoda Berta Gonthier słucha z ciekawością i upodobaniem szczerych, bo po kilku kieliszkach szampana wygłoszonych wyznań nieznajomego tancerza. Oboje zdają sobie sprawę z nadzwyczajnego spotkania i rozmowy podobnej, jakoby w maskach prowadzonej: są młodzi... Zjawia się oczywiście przyjaciel — bardzo dobry znajomy i cieszący się bezgranicznem zaufaniem papy Gonthier. Oświadcza Henrykowi — nieznajomemu tancerzowi, że z jego pomocą Berta w krótkim czasie może być jego żoną, a półmilionowy posag jego własnością.

Tak akt ten jest sentymentalnym obrazem scenicznym — niczem więcej.

W drugim akcie, gdy cała druga połowa komedyi w łeb wziąć mogła, bohater dobywa z którejś kieszeni uczciwość i w liście wyznaje papie Gonthier, że przyjaciel polecając go i przedstawiając jako zdolnego i bogatego metalurgistę, skłamał, gdyż nie jest wcale metalurgistą i pobiera tylko taką a taką śmieszną sumę... Dzięki tej uczciwości, widoki rychłego małżeństwa znikają, a zapowiada się długi akt trzeci — widza bowiem już na początku sztuki upewnił autor, jak zawsze, że bohaterowie w akcie trzecim pobrać się muszą.

Akt drugi — to wodewil niezbyt śmieszny! A następnie dzięki usłużnej przyjaciółce, Berta znachodzi naturalnie ex-narzeczonego — sprawa się wyjaśnia, jakgdyby w tej komedyi coś wogóle nie było jasne — dowiaduje się, że wprawdzie wszystko skłamał i on i jego przyjaciel, jednak pierwsze ich spotkanie było naprawdę... romantyczne. Ach! za to spotkanie wart każdy biedny malarz, rysownik, czy metalurgista co najmniej pół miliona franków. Tak więc morał zwycięża po ciężkich a długich walkach i cierpieniach..

Zapomniałem dodać, że całe to, mniej wprawdzie romantyczne, nie mniej jednak od pierwszego rozczulające spotkanie odbywa się w składzie mebli, gdzie uczciwy Henryk Calvel, jako subjekt, płata różne figle z rozpaczy po stracie ukochanej.

Więc akt ostatni niczem nie jest, jak wielce spóźnionem i tandetnie sfabrykowanem rozwiązaniem tej nudnej kabały.

Tak morał przegryzł jak czerw komedyę i po pierwszym akcie nastąpiła rzecz nieoczekiwana a rozpaczliwa: sceny płynęły coraz powolniej ku rozwiązaniu tak gorąco przez widzów i bohaterów upragnionemu, a sztuka poczęła bez litości nużyć swą rozwlekłością. (Szczęśliw, kto umknąć mógł w drugim akcie!) Okazało się, że „Nieznajomy tancerz" ze swą heroiczną uczciwością jest komedyą niemożliwie nudną, tak dalece, że ożywić jej sennego tempa nie mogły ani dowcipy, ani sytuacye, zdolne nawet dzieci rozśmieszyć, ani osoba przyjaciela, najweselszego człowieka w komedyi Tristana Bernarda, ani aforyzmy, które już dawno tę nazwę straciły.

Toteż bohaterstwem nielada było ze strony p. Nowackiego, iż nie usnął już w pierwszym akcie przy dźwiękach „Wesołej Wdówki", granej w sąsiednim pokoju. W ten sposób bowiem (cóż dziwnego?) działała na tego artystę jak narkotyk „uczciwa" rola Henryka Calvel'a. P. Łuszczkiewiczówna rolę Berty grała z szczerym sentymentem i tą szczerością uczuć, jak i swobodą ruchów na scenie, stworzyła kilka prawdziwie pięknych scen, dzięki niej wyróżniających się z całej tej nudnej i szarej komedyi. Oboje z p. Nowackim chcieli uratować Tristana Bernarda w naszej opinii i ożywić martwy płód jego Muzy. Pierwsze się nie udało.

P. Rasińskiemu za te same usiłowania, jak i innym artystom należą się słowa podzięki. „Nieznajomy tancerz" nie zasługiwał, by go tak bezinteresownie i gościnnie przyjmować na naszej scenie.

SILVA RERUM.

SUKCESOROWIE TARGOWICY. Nazwiska Branickich, Rzewuskich i Potockich wypłynęły znowu rozgłośnie ca Ukrainie rosyjskiej z okazyi udziału w uroczystościach narskich i otrzymanych dworskich faworów. Magnaterya nasza na Ukrainie umie szanować tradycyę. Przy imaniu Bagrowa zasłużyć się mieli około „Otieczestwa" hr. Czapski i obywatel Rogoziński. Teraz z kolei przemówili pp. Ksawery Orłowski (nie identyczny z tym od „Jednosła-

wów") i Stanisław Horwatt. Pierwszy z tych mężów, były urzędnik dyplomatyczny rosyjski, niegdyś już organizował ambulans polski w czasie wojny z Japonią. Teraz wysłali oni do cara następujący adres wierno poddańczy:

„Najjaśniejszy Panie, Najmiłościwszy Monarcho! My, wierni poddani Twoi, członkowie Rady państwa z wyboru od południowo-zachodnich gubernii, bierzemy na się śmiałość w imieniu polskiej części ludności wyrazić w okropnej chwili, jaką obecnie przeżywamy, naszą boleść, smutek i oburzenie z powodu wstrętnej zbrodni, która zaćmiła jasne dni pobytu naszego ukochanego Monarchy wśród nas i która zagroziła poważnem niebezpieczeństwem życiu oddanego sługi Waszej Cesarskiej Mości.

„Błagamy Wszechmocnego, aby zachował dni tego godnego syna Rosji, z którego poglądami nieraz różniliśmy się, lecz którego zawsze poważaliśmy i do którego dziś zwracamy wszystkie nasze myśli i współczucie.

„Ośmielamy się złożyć u stóp Waszej Cesarskiej Mości prośbę polskiej ludności tego kraju, aby Wasza Cesarska Mość przyjąć raczył w tej chwili bolesnej wyrazy naszego bezgranicznego przywiązania wiernopoddańczego.

„Waszej Cesarskiej Mości wierni poddani Ksawsry Orłowski, Stanisław Horwatt".

W odpowiedzi na ten adres p. Ksawery Orłowski otrzymał w dniu 16. b. m. następujący list od ministra finansów p. Kokowcewa:

„Szanowny Panie Ksawery Aleksandrowiczu!

„Najjaśniejszy Pan, raczywszy otrzymać podpisane przez Pana i Stanisława Aleksandrowicza Horwata wyrazy uczuć wiernopoddańczych ludności polskiej kraju Południowo-Zachodniego z powodu zbrodniczego zamachu na życie Prezesa Rady Ministrów itd. Stołypina, rozkazał mi wyrazić polskiej ludności kraju w osobie Pańskiej szczerą wdzięczność za wyrażone uczucia wiernopoddańcze.

„Spełniając rozkaz Jego Cesarskiej Mości, uprzejmie proszę Szanownego Pana i Stanisława Aleksandrowicza Horwatta, abyście panowie powiadomili o tej łasce Najwyższej przedstawicieli ludności Południowo-Zachodniego kraju, którzy Was do tego upoważnili. Proszę przyjąć, Szanowny Panie, wyrazy prawdziwego szacunku i szczerej życzliwości. Kokowcew".

Z twierdzeniem, wyrażonem przez pp. Orłowskiego i Horwatta, że premier Stołypin był „godnym synem Rosyi", nie naszą jest rzeczą dyskutować; ale to można powiedzieć śmiało, że Orłowski i Horwatt są godnymi synami tej „Polski", która w r. 1792 i 3 zdradzała ojczyznę, a w r. 1794 szła na stryczki powstańcze.

(Wł) W SPRAWIE DRÓG WODNYCH W AUSTRYI zanotować musimy z ubiegłego tygodnia uchwałę kongresu hydrotechników niemieckich, powziętą na zjeździe berlińskim, a wypowiadającą się za realizacyą ustawy z 1901 roku w całej jej rozciągłości.

Zagraniczni technicy wypowiadając się w tej sprawie, mają przedewszystkiem na oku usunięcie najwalniejszej zapory, wstrzymującej urzeczywistnienie olbrzymiego pomysłu uczonych, którzy chcieliby połączyć Atlantyki Bałtyk z morzem Adryatyckiem i morzem Czarnem przy pomocy jednolitej sieci dróg wodnych. Zaporą tą jest brak jakiejkolwiek inicyatywy w tym kierunku w Austryi, która pomimo dogodnych warunków i pomimo zachęcających przykładów ze strony najbliższych sąsiadów w zupełności zaniedbuje wyzyskanie sił wodnych tak korzystnie umiejscowianych w państwie.

Pozostawiając ciekawe, a szczegółowe daty dotyczące ogólno-europejskiego projektu dróg wodnych, do następnego numeru „Życia", przechodzimy do obrad prezydyum Koła polskiego z rządem, odbytych w sprawie dróg wodnych przed kilku dniami.

Zadziwia nas w tej sprawie wiele mówiąca tajemniczość. Czyżby prezydyum Koła tendencyjnie milczało, nie uzyskawszy w ciągu ostatniej konferencyi nic ponad zdawkową monetę ciągle ponawianych przez rząd obietnic?

Opinia publiczna w kraju poruszona — w ostatnich tygodniach na szeregu wieców przemówiła prowincya — oczekuje przedewszystkiem konkretnych rezultatów, a więc rozpoczęcia budowy, do której cały warstat już przygotowany i brak tylko formalnego rozporządzenia, aby puścić w ruch jego tryby.

DOKUMENTY KULTURALNE XX. WIEKU. W Stanach Zjednoczonych skazany został sławny pisarz Sinclair Upton na kilkanaście dni ciężkich robót publicznych w stroju aresztanckim — za grę w lawn-tennisa w niedzielę. Była to zemsta sądownictwa amerykańskiego za konsekwentne demaskowanie jego przedajności. — Równocześnie uszedł bezkarnie Temidzie milioner, fabrykant konserw, który towar swój przyrządzał z końskiej padliny w stanie rozkładu i ekspedyował hurtownie do Europy.

ZGON BAGROWA. Zabójca Stołypina stracony. Zbitego na miejscu przez agentów i czarnosecinną publiczność, ciętego szpadą przez jakiegoś gorliwego oficera-oprawcę, osadzono w bastyonie dawnej fortecy, t. zw. Kosoj Kopanir, stanowiącej jeden z rogów twierdzy Peczerskiej. Baszta ta wznosi się na niedostępnem urwisku; malutkie okienka wychodzą na straszliwą „Łysą Górę", miejsce, gdzie tracą obecnie przestępców, skazywanych przez sądy wojenne. Mury czernią się od starości i wilgoci. Cele wilgotne, zapleśniałe, pełne są szczurów i robactwa. Podwójne drzwi, okute żelazem, wiodą do położonej u kresu ciemnego korytarza i schodów, celi sekretnej, gdzie osadzono Bagrowa, a podobno i poddano torturom. Taką miała być wola cara Mikołaja, który wyrzekł: N i e c h t a m p r z e d ś m i e r c i ą ł o t r a p o m ę c z ą.

Posiedzenie sądu wojennego było krótkie. Był przy nim obecnym sam herszt naczelny oprawców i siepaczy więziennych, minister sprawiedliwości rosyjskiej, Szczegłowitow. Świadka przesłuchiwano jednego tylko. Bagrow po przebytych torturach na nogach nie mógł się utrzymać. Podtrzymywali go żołnierze. Odpowiadał spokojnie, dumnie, nikogo nie wydał. Podobno mówił o męczarniach, które przebył. Wyrok śmierci, przedstawiony carowi, zatwierdzony został odwrotnym telegramem. Wykonano go w obecności przedstawicieli organizacyi czarnosecinnych. Bagrow umarł odważnie. Przed śmiercią miał „rugat' prawitelstwo".

SĄDY CARSKIE. W tych dniach rozpoczął Andrzej Niemojewski z łaski biskupa-denuncyanta a za wyrok em sądu carskiego swoją karę więzienną, osadzony na przeciąg jednego roku w cytadeli. W tymże czasie nowy cios ugodził polskich bojowników myśli i pióra. Przed sądem warszawskim stanęła 23 b. m. p. Iza Moszczeńska, znakomita publicystka, znana czytelnikom „Życia" ze swych prac, tchnących wielką duchową niezależnością i gorącym patryotyzmem. Sądzono ją za artykuł p. t. „Błogosławieni Cisi", zamieszczony w niewychodzącym już tygodniku „Odrodzenie". Prokurator dopatrzył się w artykule tym zbrodni „obrazy majestatu" i „podburzania jednej części ludności przeciw drugiej". Nie znamy tego artykułu. Sądzimy tylko, że obrazić taki majestat, jaki posiada Mikołaj II, jest cokolwiek trudno, co zaś do podburzania, nad tem pracują codziennie i skutecznie rządy rosyjskie w Polsce... Ale panią Morszczeńską skazano na rok twierdzy!

KROTOCHWILA IMCI PANA STARZYŃSKIGO rozwija się interesująco w myśl dyspozycyi, przewidzianej przez cenionego autora. Obiegłszy różne Instancye od a) do g), projekt wrócił sobie do subkomitetu z tem, że Rusini słyszeć o nim nie chcą. Niebardzo chcą też słyszeć o nim Polacy. Stronnictwa sejmowe, które ułożyły w drodze kompromisu zasady tego projektu, gdy ujrzały teraz go, przyozdobionego zresztą w przeróżne figlasy, wypierają się własnego płodu. „Słowo Polskie", wierne zasadom demokratycznym, odnosi się, jednak nie bez sympatyi, do tego ultrasowskiego pokurcza, a ra ykalny obrońca interesów włościańskich, p. Grabski, skromne tylko czyni zastrzeżenia przeciw samowolnemu *iunctim* między spetryfikowanym potworkiem wyborczym, a spetryfikowaniem przywileju obszarów dworskich, które prof. Starzyński przemycić spróbował w swym krotochwilnym projekcie.

LOKAJSTWO MOSKALOFILSKIE DZIENNIKARZY CZESKICH uniemożliwi niebawem współżycie wszelkie z nimi ze strony polskiej, a przynajmniej ze strony Polaków, szanujących swoją godność narodową i godność cywilizowanego człowieka. Istnieje np. organizacya zawodowa, łącząca zrzeszenia dziennikarskie różnych narodów słowiańskich w A u s t r y i, pod nazwą „Wszechsłowiańskiego Związku Dziennikarzy". Prezesem jest p. H o l l e c z e k, Czech. Pan ten przy okazyi zabójstwa Stołypina ogłosił imieniem „związku", a nie pytając nikogo o zgodę, apel do „narodowej prasy słowiańskiej", aby „nad mogiłą rosyjskiego bohatera narodowego" wszczęła „zapamiętałą walkę z terrorem"; p. Holleczek intonuje na końcu:

„Wicznaja pamiat'“. Z dziennikarzy polskich, należących do wydziału „Związku“, jeden, red. Laskownicki, z należytą energią napiętnował ów akt cynicznej samowoli i złożył godność członka wydziału. Spodziewać się należy, że dwaj inni: pp. Ostaszewski-Barański (wiceprezes „Związku“) i Karcz nie inaczej postąpią. Opinia publiczna winna zażądać tego od nich z całą energią. Dobre jest braterstwo polsko-czeskie; dobrem byłoby zwłaszcza na Śląsku cieszyńskim, gdzie nasi bracia słowiańscy zupełnie po chamsku teroryzują ludność polską; ale jeśli ceną tego braterstwa jest uczestnictwo w podleniu się przed carem, to lepiej pono dać z niem spokój.

Z RAPTULARZA.

WIEC RELACYJNY WYBORCÓW I-go okręgu m. Lwowa, zwołany 27 b. m. przez posła Śliwińskiego, celem złożenia sprawozdania z krótkich prac letnich nowego parlamhntu, jest dowodem, że posłowie postępowi, wbrew obyczajom zakorzenionym we ws ystkich stronnictwach poza socyalną demokracyą, pragną z wyborcami w stałym zostawać kontakcie, że czują się odpowiedz alni przed ogółem wyborców, nie zaś prz:d ludźmi tylko swojej partyi.

W OBRONIE DRÓG WODNYCH przemówi w poniedziałek 2 października stolica kraju, na wiecu puplicznym w sali ratuszowej, zwołanym przez krajowe Towarzystwo Wyzyskania Sił Wodnych. Zagaja wiec poseł Kozłowski; referaty wygłoszą inż. Maślanka i prof. Starzyński.

PO ZABURZENIACH WIEDEŃSKICH. Miasto przybrało zupełnie zwyczajny wygląd. Tylko w szpitalach i na ławie sądowej rozgrywa się epilog niedzielnego dramatu. Zmarły dalsze dwie ofiary zajść, a jedna dogorywa. Sąd rozpatrzył, przyznać to trzeba, wyjątkowo szybko, jak na austryackie stosunki, sprawą 23 pierwszych aresztowanych. Wyjmujemy tylko najcharakterystyczniejsze sprawy. 1) za okrzyk „wypuścić“ (aresztowanego 9 dziewięcio) letniego chłopaka) — jeden aresztowany dostał 6 miesięcy więzienia — inny, 18-letni chłopak za okrzyk „Niech żyie anarchia“ — 3 miesiące ciężkiego więzienia; rówieśnik jego za rozbicie kilku latarń — piętnaście miesięcy, inny za „nierozejście się“ i słowa „ja einmal“ — miesiąc. Szesnastoletni dzieciak za rzucenie kamieniem na szkołę, mimo wikłania się w zeznaniach policyanta, dwa lata ciężkiego więzienia. Robotnik, ojciec licznej rodziny za kamień rzucony na policyę — rok. Młody chłopiec za uderzenie konia — rok ciężkiego więzienia. 19-letni chłopiec z rozbicie latarni — rok, inny uznany za upośledzonego umysłowo za rzucenie kamieniem na policyanta — 6 miesięcy. Inny oskarżony za „nie dość szybkie rozejście się“ — 1) dni. Inny wreszcie, który dzwonił (po godzinie 10) do własnego domu został — uwolniony, naturalnie po sześciodniowym pobycie w aresztach. Dodać należy, że nikomu z oskarżonych nie udowodniono ugodzenia kamieniem policyanta, co najwyżej zamiar, t. j. rzut. Komentarze osłabiłyby tylko wrażenie nagich faktów.

UBIEGŁY TYDZIEŃ stał w przeciwieństwie do burzliwego swego poprzednika w znaku wyborów i zmian ministeryalnych.

Doniosłe znaczenie ogólno-światowe mają wybory kanadyjskie, zakończone klęską rządu liberalnego, a zwycięstwem imperyalistów. Wzmacniają one nietylko pozycyę imperyalistów w całem imperyum brytyjskiem, ale oznaczają upadek „traktatu wzajemności“, mocą którego mia a zniknąć granica celna między Kanadą, a Stanami zjedno zonymi. Traktat miał umożliwić wywóz płodów surowych do Stanów, a dowóz wyrobów przemysłowych ze Stanów do Kanady, co by stanowiło dla młodego przemysłu kanadyjskiego niebezpiecz ną konkurencyę. Ponieważ rynek wewnętrzny Stanów szybko się rozszerza, niedaleką jest chwila, gdy przestaną one być krajem wywożącym zboże i mięso. Dowóz ze słabo zaludnionej, nadzwyczaj taniej Kanady, oddaliłby ten moment. Upadek traktatu podbije ceny płodów surowych w Stanach zjednoczonych, a w następstwie eksportu europejskiego i w niedługim czasie odbije się na rynkach europejskich.

Nowe sobranie bułgarskie otrzymało większość wybitnie panslawistyczną. Pokonani stambułowcy, partya chłopska — wszyscy socyaliści obu frakcyi padli.

W AUSTRYI nastąpiła zmiana w ministeryum wo ny. Zasłużony i powszechnie ceniony w obu p łowach monarchii generał Schöneich ustąpił podobno z woli czynników wyższych, z powodu zbyt pojednawczego stanowiska wobec Węgrów i zbytnich oszczędności w budżecie wojskowym. Nowy minister Auffenberg ma podobno przynieść obok zmienionego tytułu, nowych 300 milionów wydatków do zamierzonej nadwyżki, spowodowanej projektowaną ustawą wojskową.

POZNAŃ otrzymał nowego wielkorządcę w osobie von Schwartzkopffa. O „nowym człowieku“ trudno wiele powiedzieć. Dotychczas jego działalność w ministeryum oświaty cechowało wrogie odnoszenie się do wszelkich dążeń postępowych i kokietowanie z klerykalizmem Jako hakatysta nie zaznaczył się dotąd nigdy, wszel ie jednak pogłoski o jego „polonofilstwie“ są oczywiście bezpodstawne. Z esztą kursu polityki antypolskiej nie decydował nigdy Poznań, ale Berlin.

W SZWECYI pierwsze wybory na podstawie proporcyalności są na ukończeniu. Konserwatyści stracili większość. Ilość posłów socyalistycznych wzrosła z 34 na 58—60, liberali zdobyli także około 10 mandatów. Żadne z 3 stronnictw nie posiada większości.

W ROSYI następcą Stołypina w prezesurze ministrów został Kokowcew, dotychczasowy minister skarbu. Nowy premier dał się poznać jako nadzwyczaj zdolny fi ansista, czego najlepszym dowodem jest ostatni budżet rosyjski. Pod względem politycznym miał być przeciwnikiem stołypinowskiej nagonki na inorodców. Z drugiej jednak strony pamiętne są jego słowa, wyrzeczone w dumie „Chwała Bogu, nie mamy w Rosyi konstytucyi“. Objęcie prezesury przez Kokowcewa odbyło się bez inauguracyjnego pogromu żydowskiego. Jako finansista, dbały o kredyt zagraniczny, ma być Kokowcew wogóle przeciwnikiem używania środków radykalnych i skłaniać się ku październikowcom Czy jakakolwiek zmiana kursu nastąpi, poznać będzie można po obsadzie ministerstwa spraw wewnętrznych, którego sam premier nie obejmie. Nadzwyczaj ważnem jest również, czy Kokowcew zatrzyma w rządzie członków stołypinowskiej kliki: ministrów sprawiedliwości Szczegłowitowa, oświaty Kasso i spraw zagranicznych Sazonowa. Z Krzyżanowskim i Neuhardtem stanowili oni dotąd główne podpory ultra-reakcyjnego prądu w rządzie. Oczywiście w obecnym położeniu wszelka zmiana tyczyć może w Rosyi tylko taktyki rządu, o kursie szczerze konstytucyjnym mowy być nie może.

KWESTYA TRYPOLITAŃSKA. Ledwie zakończyła się z honorem dla Francyi, a korzyścią dla Niemiec sprawa marokańska, a oto zebrała się na horyzoncie śródziemnomorskim nowa burza, zapowiadająca się daleko groźniej. Tym razem chodzi o Trypolis, który chcą anektować Włochy wzorem obu swoich sąsiadów, wschodniego i zachodniego. Sytuacya jest o tyle różna od sprawy marokańskiej, że nie rozchodzi się o własność słabego władcy mauretańskiego, który mógł być tylko widzem w handlu o swoje państwo, ale o prowincyę reorganizującej się Turcyi. Włochy, podobnie jak przed dwoma laty Austrya, dotknęły najdrażliwszej kwestyi europejskiej: kwestyi wschodniej.

Wskutek samego położenia był Trypolis ekonomicznym terenem ekspansyi włoskiej i tylko polityce Crispiego zawdzięczała Turcya abdułhamidowska, że kraju luźnie z metropolią związanego nie straciła. Sojusz z odwiecznym wrogiem spowodował ostudzenie stosunków z naturalną przyjaciółką Francyą, a w następstwie z jednej strony powstrzymanie wszelkiej akcyi śródziemnomorskiej i rzucenie się w awanturniczą politykę abisyń-

ską. zakończoną adnańską katastrofą. Odtąd zwracają Włochy napowrót swoje siły w stronę Morza Śródziemnego, następuje odsuwanie się od trójprzymierza, a punktem ulminacyjnym jest zjazd w Racoiggi. Tymczasem stosunki śródziemno-morskie kształtują się dla Włoch daleko niekorzystniej. W miejscu półazyatyckiego państwa w stanie rozkładu, znajdują Włochy militarnie zreorganizowaną młodą Turcyę; w Albanii udaje się Austryi wywołać powstanie i zmuszeniem Porty do dalekich ustępów na rzecz powstańców utrwalić tam silnie swoje wpływy, Trypolis nie jest bezpańskim krajem, w którym władzą sułtańską markuje wali bez wojska i znaczenia, ale prowincyą, objętą już stałą administracyą i zaopatrzoną 20,000 załogą. Oczywiście, pozbawiony bezpośredniej komunikacyi z resztą państwa rozwija się ten wilajet powolniej od reszty państwa i przedstawia jeszcze sposobność do skutecznego napadu. Wobec bezwzględnej przewagi morskiej Włoch wynik walki nie ulegałby wątpliwości, choć dziś już musiałyby Włochy zapłacić bardzo słony rachunek, przenoszący może wartość piasków trypolitańskich. Ale odgrywają tu rolę inne jeszcze czynniki. Prawdopodobnem jest, że konflikt włosko-turecki wykorzystałaby Austrya do dalszych aneksyi na Bałkanie, na co trafnie zwraca uwagę przestrzegający przed przedsięwzięciem Bissolati.

W najprzykrzejszem położeniu znajdą się Niemcy, zmuszone otwarcie wybrać między sojusznikiem, a pupilem, w którego regeneracyę włożyły olbrzymie kapitały.

Konflikt trypolitański może porwać nici od szeregu lat z trudem łatanej równowagi europejskiej i spowodować konflikt powszechny o nieobliczalnych następstwach.

Z dniem 30 września pismo nasze zamyka rok swego istnienia.

W ciągu roku tego „Życie“ rozwinęło się, wypracowało sobie własne ideowe oblicze, stanęło odważnie na zdawna opuszczonej pozycyi i pod gradem pocisków wytrwać tam zamierza do ostatka. Zdobyło sobie wrogów możnych i zaciętych; ale skupiło również dokoła siebie zastęp liczny ludzi duchem żywych, walczyć chcących za sprawę wolności i postępu.

Od nich domaga się „Życie“ stałego współdziałania, pomocy czynnej. W ich ręku jest los pisma i dalsze jego istnienie.

„Życie“ poświęca w każdym zeszycie artykuł naczelny podstawowym zagadnieniom polityki narodowej. Szereg artykułów zagadnieniom bieżącym życia społecznego i narodowego w trzech zaborach i na obczyźnie. W każdym zeszycie poświęca kart kilka literaturze, sztuce i wiedzy. Zamieszcza utwory literackie wybitnych pisarzy, zestrojone z duchem pisma. Piórem fachowców porusza przysypane od pół wieku u nas pyłem niepamięci, a zajmujące dziś tak żywo całą Europę, zagadnienia wojskowości i wojny. Uderzeniami mizerykordyi rozprawia się z wstecznictwem, przewrotnością i obłudą.

W „Życiu“ zamieścili swe utwory literackie: Stanisław Barącz, Witołd Bunikiewicz, Bogusław Butrymowicz, Gustaw Daniłowski, Stanisław Falkiewicz, Feliks Gwiżdż, Józef Jedlicz, Juliusz Kaden, Jan Kleczyński, Marya Markowska, Władysław Orkan, Władysław Orwid, Wiktor E. Pordes, Wacław Radziszewski, Jadwiga Sarnecka, Savitri, Andrzej Strug, Sydir Twerdochlib i wielu innych.

Współpracownikami „Życia“ byli: Dr. Tobiasz Aschkenase, Ignacy Daszyński, Marya Dulebianka, Wilhelm Feldman, Tadeusz Grużewski, Dr. Władysław Gumplowicz, Dr. Michał Janik, Dr. Witołd Jodko, Ludwik Kulczycki, Dr. Helena Landau, Bronisław Laskownicki, Dr. Bolesław Limanowski, Dr. Aleksander Lisiewicz, Iza Moszczeńska, Andrzej Niemojewski, Artur Śliwiński, Hipolit Śliwiński, Dr. Michał Sokolnicki, Konstanty Srokowski, Marya Turzyma, Leon Wasilewski i bardzo wielu innych.

Życie“ druku je obecnie powieść Jana Kleczyńskiego

*„**Julek**“ (Portret współczesny).*

Nowi prenumeratorzy otrzymają początek powieści bezpłatnie.

Każdy numer „Życia“ zawiera 16 stron druku.

Prenumerata wynosi:

Rocznie 20 kor. Półrocznie 10 kor. Kwartalnie 5 kor.

Administracya: Lwów, Dąbrowskiego 2.

Stowarzyszenia kulturalne, zrzeszenia nauczycielskie, akademickie i robotnicze otrzymują „Życie“ na żądanie po cenie zniżonej.

ROCZNIK XIII. WRZESIEŃ 1911.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE.

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi		zagranicą		w Król. i Rosyi
rocznie	K 20	Mk. 20	fr. 24	Dol. 5	rb. 10
półrocznie	» 10	» 10	» 12	» 2·50	» 5
kwartalnie	» 5	» 5	» 6	» 1·50	» 2·50
Nr. pojed.	» 1·75	» 2			» 1

Adres Redakcyi i Administracyi: **Kraków, Stachowskiego 14.**